

MOOSE PETERSON

UCHWYCONE OBIEKTYWEM

Lekcje legendarnego fotografa dzikich zwierząt



Hellon



» Idź do

- Spis treści
- Przykładowy rozdział

» Katalog książek

- Katalog online
- Zamów drukowany katalog

» Twój koszyk

- Dodaj do koszyka

» Cennik i informacje

- Zamów informacje o nowościach
- Zamów cennik

» Czytelnia

- Fragmenty książek online

» Kontakt

Helion SA
ul. Kościuszki 1c
44-100 Gliwice
tel. 32 230 98 63
e-mail: helion@helion.pl
© Helion 1991–2011

Uchwycone obiektywem. Lekcje legendarnego fotografa dzikich zwierząt

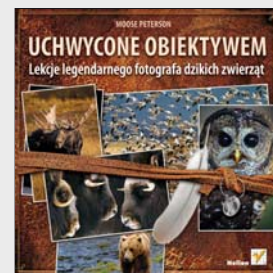
Autor: Moose Peterson

Tłumaczenie: Joanna Pasek

ISBN: 978-83-246-3206-0

Tytuł oryginału: [Captured: Lessons from Behind the Lens of a Legendary Wildlife Photographer](#)

Format: 230×230, stron: 410



Okiełznaj dziką przyrodę w obiektywie!

- Od czego zacząć fotografię dzikiej przyrody?
- Jaki sprzęt wybrać?
- Jak fotografować w nocy?

Fotografowanie dzikiej przyrody to prawdopodobnie jeden z najbardziej wymagających rodzajów fotografii. Spotkanie oko w oko z niedźwiedzią grizzly lub watahą wilków wymaga stałych nerwów, a z kolei fotografowanie sów - cierpliwości, precyzji i umiejętności bezszelestnego przemieszczania się. Jeśli marzysz o przygodzie z fotografią na łonie dzikiej natury i szukasz inspiracji dla Twoich zdjęć, lepiej trafić nie mogłeś!

W tej wyjątkowej książce Moose Peterson dzieli się doświadczeniem zdobytym w ciągu trzydziestu lat bliskiego obcowania z dziką przyrodą. Jeżeli jesteś laikiem w tej dziedzinie, na samym początku autor da Ci parę cennych wskazówek i podpowie, od czego zacząć. W kolejnych rozdziałach dowiesz się, jak pracować bez siatki ochronnej, eksperymentować z lampą błyskową, wybierać odpowiedni sprzęt oraz współpracować z biologami. Zobaczysz, jak bezpiecznie fotografować jaskinie, obserwować gatunki, aby wskazywały Ci drogę do kolejnych intrygujących osobników, oraz robić im zdjęcia w nocy. Nauczysz się fotografować ptaki, owady oraz intymne życie zwierząt. Książka ta jest pasjonującym przewodnikiem po świecie dzikiej przyrody, z którym sfotografujesz nawet najbardziej nieokiełznane zwierzę niczym fotograficy National Geographic!

- Początek przygody z fotografowaniem dzikiej przyrody
- Współpraca z biologami
- Eksperymentowanie z fleszem
- Praca bez siatki ochronnej
- Fotografowanie w jaskini
- Dobór sprzętu
- Wykorzystanie koloru do manipulacji umysłem
- Fotografowanie w nocy
- Przygotowanie do wyjazdu
- Praca ze statywem
- Fotografowanie ptaków

Poznaj tajniki fotografowania przyrody!

Spis treści

Rozdział 1.
Trzeba od czegoś zacząć
10

Rozdział 2.
**Żadnych złudzeń,
nie kieruję swym życiem**
48

Rozdział 3.
Nieźła jazda!
80

Rozdział 4.
**Uczciwie mówiąc,
dopiero zaczynam się uczyć**
118

Rozdział 5.
Tak to się robi
162

Rozdział 6.
Ważny składnik sukcesu
208

Rozdział 7.
Oni pomogli najbardziej
248

Rozdział 8.
**To z pewnością
jeszcze nie koniec**
302

Dodatek 1.
**Moja torba ze sprzętem fotograficznym
i pozostałe wyposażenie**
378

Dodatek 2.
Mój zestaw czyszczący
380

Dodatek 3.
Moje ustawienia dla aparatu D3
382

Dodatek 4.
Ćwiczenie z pluszakami
388

ROZDZIAŁ 3.

Niezła jazda!



Sharon zajmuje się Brentem (Brent uwielbia bawić się aparatem) w czasie mego spotkania z lisem o imieniu Keebler.



Mój BRD CHSR w Tule Lake, przy 20-stopniowym mrozie, gdy pracowałem nad bielikami amerykańskimi.

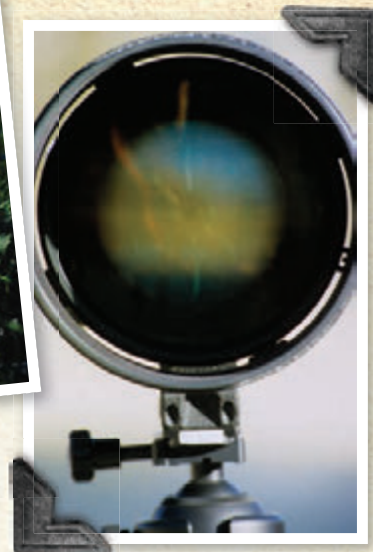


Praca z moim ulubieńcem — lisem długouchym. Po założeniu kołnierza telemetrycznego zwierzę zostanie puszczone wolno. Zdjęcie autorstwa Josha Bradleya.



Suseł z podgatunku mohave ground squirrel (*Xerospermophilus mohavensis*). Zdjęcie zrobione Nikonem F5 z obiektywem Nikkor 800 mm f/5.6 z TC-14, na kliszy Kodachrome 64.

Obiektyw 800 mm f/5.6 widziany od przodu. To właśnie widzi zwierzę, które fotografujesz, kiedy odejmiesz oko od wizjera.



Był czwartek, późne popołudnie. Pamiętam ten dzień tak, jakby to było wczoraj. Wyregulowałem moje rzutniki i system nagłaśniający (w tamtych czasach robiłem prezentacje ze slajdów z użyciem dwóch projektorów i magnetofonu), ponieważ jakoś tak się stało, że zaproszono mnie do wygłoszenia prezentacji na dużym zjeździe ornitologów organizowanym przez muzeum historii naturalnej, który odbywał się raz do roku w Santa Barbara. Miałem mówić na ten sam temat, jaki prezentowałem wcześniej na niezliczonych spotkaniach klubu Audubon — o wireonkach.

Zanim zaczęła się prezentacja, zmieniłem koszulę, sam nie wiem ile razy. Powiedzieć, że byłem stremowany, to łagodne określenie. Maeton miał być na widowni. To prawda, już ładnych parę miesięcy wcześniej odwiedziliśmy go w domu i zaprezentowałem mu wtedy moją pogadankę, aby upewnić się, że nie ma w niej jakichś straszliwych błędów. Jednak teraz nie mogłem zrozumieć, co właściwie robię w tym szacownym akademickim gronie — początkujący fotograf, żółtodziób, imitacja badacza — próbując dawać wykład na temat związany z biologią. W co ja się wpakowałem? Pierwszy raz miałem „naukowo” zaprezentować się przed gronem specjalistów, ludzi zorientowanych w temacie. Czasem naprawdę się zastanawiam, czy przypadkiem nie jestem kretynek.

Zacząłem tak, jak zwykle — od pokazu slajdów puszczonego do muzyki. To był utwór *Funeral for a Friend* Eltona Johna, podkreślony całkiem głośno. Wszystkie obrazy w otwierającym pokazie pochodziły z Yosemite'ów — może nie były to moje szczytowe osiągnięcia, ale i tak wcale nie najgorsze, zwłaszcza jak na młodego fotografa. Moja widownia nie była na to przygotowana — sądzili, że zobaczą parę zdjęć ilustrujących jakieś techniczne szczegóły i mnóstwo wykresów. W mojej prezentacji nie miałem jednak ani jednego wykresu. Miałem zdjęcia ptaków i wskaźnik laserowy.

Gdy ucichła muzyka, wszyscy obecni zaczęli gapić się na mnie z wyrazem twarzy świadczącym, że nie mają pojęcia, czego spodziewać się dalej. Wszelka myśl o tym, że to miałyby być normalna naukowa pogadanka, opuściła już salę. Wyświetliłem wtedy moje najlepsze „biologiczne” zdjęcie LBV, a potem powiedziałem coś, czego zwykle nie słyszy się na takich spotkaniach, coś w rodzaju: „Opowiem teraz o ptaku, w którym zakochałem się od pierwszego spotkania”. To się nie mieści w głowie — opowiadać o emocjach w gronie naukowców! Maeton pewnie w tej chwili siedział gdzieś z tyłu sali i myślał: „O czym on gada? Ta prezentacja, którą zatwierdziłem, to było coś całkiem innego!”

ROZDZIAŁ 3.

W półmroku sali mogłem dostrzec na twarzach moich słuchaczy zdumienie pomieszane z zadowoleniem. Jednak nikt się nie poruszył ani nie odezwał, bo obawiali się trochę tego, co może nastąpić. Przez następne 30 minut oprowadzałem moją widownię po kotlinie Mono. Urządziłem im wizualną — teraz powiedzielibyśmy: wirtualną — wycieczkę po obszarze zamieszkania i aktywności LBV. Używałem terminów takich, jak „przeczesywanie terenu” albo „wylęg”, ale unikałem nazywania zebranych informacji „danymi”. Skończyłem na zdjęciu, które było moją tajną bronią i jak żadne inne trafiało do serc słuchaczy, o czym przekonałem się na moim objeździe po klubach Audubon. Zdjęcie przedstawiało LBV siedzącego na gnieździe, z perfekcyjnie naświetlonym liściem po lewej. Tak naprawdę całą historię opowiedziały same zdjęcia.

I nagle zrobiło się gorąco — nie dlatego, że ktoś majstrował przy klimatyzacji, lecz z powodu wybuchu niepohamowanego aplauzu. Wierzcie mi, nie ma drugiej takiej widowni jak widownia złożona z biologów. Oni wiedzą lepiej niż ktokolwiek na świecie, jak powinny wyglądać dobre zdjęcia przyrody. Nadszedł czas zadawania pytań z sali, ale nie było takich pytań, jakie zwykle spotyka się na naukowych pogadankach. To były raczej gratulacje. A ja przygotowywałem się w tym czasie do wielkiego finału.

Zawsze robiłem, co mogłem, by posłać mych słuchaczy do domu z pieśnią w sercu, i nie zamierzałem teraz rezygnować z tej tradycji. Zostawiłem jeszcze na deser zestaw zdjęć żurawi kanadyjskich, zrobionych w pewnym specjalnym miejscu zwanym Soda Lake w kalifornijskim rezerwacie Carizzo Plain



Żurawie kanadyjskie w Soda Lake. Zdjęcie zrobione Nikonem F3P z obiektywem Nikkor 400 mm f/5.6, na kliszy Kodachrome 64.

Zdecydowanie polecam wszystkim fotografom, by dzielili się swymi zdjęciami z publicznością, a pokaz slajdów to bardzo dobry sposób, by to zrobić. W czasach mojej młodości wymagało to napełniania pojemników slajdami i obsługiwania projektora pilotem, teraz wszystko jest cyfrowe. Osobiście korzystam z aplikacji ProShow Producer firmy Photodex, gdyż za jej pomocą można łatwo zaprojektować pokaz, a potem wyeksportować go w formacie odpowiednim dla sieci albo zapisać na płycie DVD — do oglądania na ekranie telewizora. Możesz zresztą wybrać całkiem inne narzędzie, to nieważne. W każdym razie zrób to i pokaż swoje zdjęcia całemu światu!

National Monument, które puszczałem do nastrojowej muzyki. Ostatni obraz w tej serii przedstawiał klucz żurawi na tle księżycy. Tymczasem moja widownia myślała, że to już wszystko — z takimi prezentacjami nie mieli jeszcze do czynienia, skąd więc mogli wiedzieć, że powinni poczekać na ostatnią część? Wielu wstało z krzeseł, gdy przeszedłem na tył sali, by zmienić obrotowe podajniki. Zignorowałem to. Sharon zajmowała się światłami, więc wystarczyła sekunda — pojemniki zostały wymienione, a światła znów przygasły.

W tym momencie wszyscy zastygli tam, gdzie akurat byli, i zapatrzyli się w ekran. Pewnie myśleli, że znów usłyszą coś z rock and rolla, ale zaskoczyłem ich (na to liczyłem!). To był łagodny, romantyczny kawałek. Muzyka grała, obrazy zmieniały się na ekranie. Zobaczyłem, jak jakaś dama ociera łzy z policzków. Wygrałem! Światła się zapaliły, a ja wiedziałem, że zdobyłem serca moich słuchaczy. Byłem wielki.

Byłem naprawdę zadowolony z mojej prezentacji. Maeton podszedł, żeby mi pogratulować. Wiele osób podchodziło, by zadać jakieś pytanie na temat fotografii albo powiedzieć, że im się podobało. Gdy dotarłem do dziewiątej sfery raju, podszedł do mnie Charlie (biolog) i przedstawił się. Słyszałem o nim wcześniej. Powiedział mi, że fotograf zatrudniony przy jednym z jego obecnych projektów okazał się kompletnie nieodpowiednią osobą i Charlie zrobił to, co powinien (tak to ujął w rozmowie ze mną), czyli zwyczajnie wywalił go za drzwi. Zawsze się zastanawiałem, czy to rzeczywiście tak wyglądało, ale niezręcznie było o to pytać. Właśnie wtedy, gdy podał mi rękę i pogratulował prezentacji. Jednak ta myśl krążyła gdzieś

na zapleczu mego mózgu, gdy spytał, czy nie byłbym zainteresowany fotografowaniem modrowronek kalifornijskich na wyspie Santa Cruz, jak również rybitw białoczelnych, rybitw kalifornijskich, brzytwodziobów amerykańskich i cierniosterników czarnych. Poczułem lęk, który nagle zamienił się w panikę, gdy usłyszałem samego siebie mówiącego: „Oczywiście, bardzo chciałbym pracować przy tym projekcie”.

Charlie nie jest po prostu biologiem — nie jednym z wielu. Charlie jest ornitologiem o światowej renomie. Wtedy właśnie opublikował książkę, i to nie o jakimś jednym gatunku, lecz o całej rodzinie ptaków. Charlie okazał się też wspaniałym facetem i z czasem został jednym z naszych najlepszych przyjaciół, a przy tym jednym z moich mentorów. Otóż Charlie wybierał się za miesiąc na wyspę Santa Cruz i miał w ekipie wolne miejsce, które postanowił wypełnić moją skromną osobą.

Praca bez siatki ochronnej

Charlie okazał się bramą do projektów prowadzonych na całkiem innym poziomie — wszystkie dotyczyły kalifornijskich gatunków ginących lub zagrożonych i wszystkie były długoterminowe. To były naprawdę poważne prace. Bałem się, czy moje umiejętności będą wystarczające, martwiłem się o budżet (budżet! Do licha! Opróżniłem wszystkie skarbonki, jakie były w domu!) i o to, czy mogę sobie pozwolić na wzięcie urlopu w pracy. To był moment, kiedy musiałem położyć na jednej szali dobro rodziny (Sharon była w ciąży, miał się urodzić nasz pierwszy syn) i regularną pracę, a na drugiej mą „kwitnącą” fotograficzną karierę oraz przemożne pragnienie, by być w plenerze, z aparatem, a nie uwięzionym w czterech ścianach. Jednak wierzyłem, że musi być jakiś powód, dla którego tak się to ułożyło i kawałki układanki tak ładnie się dopasowały. Więc z niefrasobliwością typową dla młodych Sharon i ja wyrzuciliśmy ostrożność za burtę i pożegnaliśmy z wiatrem!

To miał być pierwszy projekt, przy którym miałem pracować pozbawiony bezpiecznego zaplecza własnego samochodu. Obecnie, z całym moim podróżniczym doświadczeniem, nie widziałbym w tym nic strasznego, lecz wtedy byłem przyzwyczajony wozić ze sobą wszystko, włącznie z kuchennym zlewem. Długo myślałem nad pakowaniem. Zebrałem mój sprzęt i to, co uznałem za konieczne, wsadziłem wszystko do mego camaro i pojechałem do portu w Ventura.

ROZDZIAŁ 3.



Jeden z naszych „weteranów”, modrowronek kalifornijski z Santa Cruz, prezentuje swe dość zużyte obrączki (oraz spryt, bo nie chciał się zbliżyć do pułapki). Zdjęcie zrobione Nikonem F3 z obiektywem Nikkor 400 mm f/5.6, na kliszy Kodachrome 64.

Na wyspę podwoziła nas marynarka Stanów Zjednoczonych. To był prawdziwy kuter patrolowy, taki, jaki można było zobaczyć (w każdym razie wtedy) w serialu *McHale's Navy*. Zaniósłem do portu mój bagaż, sprzęt, rzeczy osobiste oraz żywność. Bez trudu zabrałem wszystko za jednym zamachem. Dotarłem na miejsce zbiórki i zastałem tam całe stosy przeróżnych rzeczy. Zabrałem same suche produkty ze względu na oszczędność miejsca i skrócenie czasu przygotowania, tymczasem Charlie i jego ekipa przybyli z chłodziarkami wypełnionymi świeżą żywnością i zamierzali zajmować się gotowaniem. Zapewnili mnie, że dla mnie też zabrali mnóstwo jedzenia. Wytłumaczyłem im, że wziąłem zupy w proszku, żeby mieć więcej miejsca na klisze. Uwierzyli bez zastrzeżeń i odnieśli się z szacunkiem do mego poświęcenia. Jednak problem z pakowaniem polegał nie tylko na tym, że wszystko musiało bezpiecznie dotrzeć na wyspę. Musiałem też mieć możliwość noszenia ze sobą na wyspie wszystkiego, co będzie mi potrzebne. To było jeszcze, zanim zaczęto sprzedawać fotopaki, więc przekształciłem plecak w mój pierwszy fotopak. To była ostatnia rzecz, jaką wniosłem

na pokład, i nie rozstawałem się z nią odtąd ani na chwilę.

Ależ to była ostra jazda! Kapitan przeszedł na pełną prędkość, gdy tylko minęliśmy ostatnią portową boję, i nie zwolnił ani na moment aż do wybrzeży wyspy. Gnaliśmy, roztrzaskując fale, zakręcając tylko od czasu do czasu, by ominąć przeszkodę w rodzaju wieloryba. Widzieliśmy po drodze plectwale błękitne, wale szare, grindwale i ptaki pelagiczne — dla mnie to była zupełna nowość.

Charlie i inni wykrzykiwali nazwy to tego, to innego gatunku ptaków, lecz nic mi one nie mówiły (teraz już znam je wszystkie). Nawet nie wyjąłem aparatu. Siedziałem tam, słuchałem i chłonałem to wszystko.

Dotarliśmy do wyspy, przeładowaliśmy bagaże do samochodów i pojechaliśmy do bazy. Gdy zbliżyliśmy się do centrum badawczego, przywitał nas wyspiarski lis. Kierownik centrum zrobił

doktorat na temat tamtejszych lisów, więc wszelkie informacje o tym charakterystycznym stworzeniu były wyjątkowo łatwo dostępne. Trudno było się skoncentrować na głównym temacie badań naszej ekipy, czyli modrowronkach. Modrowronki z Santa Cruz wyglądają podobnie do lądowych, lecz jest to odrębny podgatunek.

Sprzęt, jaki zabrałem ze sobą, nie był zbyt wymyślny: dwa Nikony F3 (wersja P i T) oraz obiektywy: 20 mm f/2.8, 35 – 70 mm f/2.8, 35 – 200 mm f/3.5 oraz 400 mm f/5.6. Miałem też flesze i uchwyt do nich, klisze, statyw

Niezależnie od tego, czy podróżuję samolotem, czy samochodem, po wielogodzinnej podróży matryca światłoczuła mego aparatu zawsze jest zabrudzona, choćbym przed wyjazdem najstaranniej ją czyścił. To skutek wibracji. Dlatego po dotarciu na miejsce zawsze czyszczę sensor, zanim zacznę fotografować.

i kamizelkę fotograficzną. Wszystko to trafiło do podręcznej torby, każda rzecz z osobna starannie zabezpieczona. Pracując na wyspie, większość ekwipunku nosiłem w kieszeniach kamizelki, a mój F3P z obiektywem 400 mm f/5.6 zawsze wisiał na pasku na moim ramieniu. Patrząc dziś na tę listę i chichocząc. Jakże wszystko było wtedy nieskomplikowane! Zadziwiające, ile sprzętu noszą teraz ze sobą ludzie zatrudnieni do podobnych zadań. Lecz to, co wziąłem, wystarczyło w zupełności, i dotąd mam te zdjęcia.

Kupowanie danych za orzeszki

To był standardowy naukowy projekt; naszym celem było oznaczenie pewnej liczby osobników danego gatunku z użyciem obrączek USWFS i obrączek kolorowych, aby zebrać dzięki temu dane na temat wyboru i zakresu

użytkowania terytoriów oraz zasad ich obrony przez poszczególne pary. Chodziło więc o to, żeby łąpać modrowronki i zakładać im obrączki. Ponieważ ich terytoria są bardzo rozległe, a ptaki wciąż się przemieszczają, zwykła metoda — cienka jak mgła sieć — nie zdawała egzaminu. Zamiast tego używaliśmy pułapki — dużego drucianego pudła.

Modrowronki dowolnego podgatunku mają fioła na punkcie orzeszków ziemnych. Nieważne, czy kiedykolwiek wcześniej widziały taki orzeszek — rzuć orzeszek w stronę modrowronki, a ta będzie musiała przylecieć i go obejrzeć. A gdy go już obejrzy, to go zakopie. Taka po prostu jest. Tam, na wyspie, nauczyłem się najlepszego sposobu na modrowronki; stosuję go do dziś, gdy fotografuję te ptaki na własnym podwórku.



Rybitwy kalifornijskie. Zdjęcie zrobione Nikonem F3/T z obiektywem Nikkor 800 mm f/5.6 z TC-14, na kliszy Kodachrome 64.



Kaliifornijskie rybitwy białoczelne.
Zdjęcie zrobione Nikonem F3/T
z obiektywem Nikkor 800 mm f/5.6
z TC-14, na kliszy Kodachrome 64.



Brzytwodzioby amerykańskie.
Zdjęcie zrobione Nikonem F3/T
z obiektywem Nikkor 800 mm f/5.6,
na kliszy Kodachrome 64.

Dlatego to właśnie orzeszki ziemne były wykorzystywane do zwabienia modrowronek do pułapek. Pułapki były dokładnie takie, jakie widuje się w kreskówkach: klatka z klapą podpartą kijkiem, do którego przywiązany był sznurek. Po pociągnięciu sznurka klapa się zamykała. Do klatki wrzucano orzeszki. Ponieważ modrowronki są właśnie takie, jakie są, musiały wleźć po nie do klatki. Aby trochę im to osłodzić, nieco orzeszków rozrzucono także dookoła klatki (mieliśmy w stacji olbrzymie zapasy orzeszków ziemnych).

Pary ptaków, które nie miały wcześniejszych doświadczeń z pułapkami, bez wahania wchodziły do klatki. Klapa się zamykała, a chwilę potem ptaki były już w naszych rękach i zostawały zaobrączkowane. Modrowronki dobierają się w pary na całe życie, lecz strata partnera nie jest niczym niezwykłym. Dlatego zależało nam na obrączkowaniu obu ptaków w parze. Prawdziwa zabawa zaczynała się dopiero, gdy chodziło o złapanie niezaobrączkowanego jeszcze partnera (moim czytelnikom ten fragment się zapewne spodoba).

W przypadku modrowronek mających już doświadczenie z pułapkami cała rzecz wyglądała inaczej. Gdy trzeba wykonać brudną robotę, czyli wyciągnąć orzeszek ziemny z klatki, samiczka wysyła swego towarzysza, by tego dokonał. Ptaki wiedzą, co oznacza klatka, ale pociąg do orzeszków zwycięża. Jeśli to samiczka ma być zaobrączkowana, najpierw trzeba złapać samczyka. Są to jednak mądre ptaki, które uczą się na swoich błędach. Dlatego doświadczony samczyk najpierw zbiera wszystkie orzeszki leżące poza klatką. Potem obchodzi klatkę dookoła i sięga między drutami po te orzeszki, które są w zasięgu jego dzioba. I tak to trwa do czasu, aż zostanie już tylko jeden, ostatni orzeszek — na samym środku klatki (przymocowany drucikiem). Ponieważ samiczka siedzi niedaleko i wykrzykuje swoje żądania, w końcu samczyk wchodzi do klatki. Voilá!



Projekt badawczy dotyczący modrowronek prowadzony na wyspie Santa Cruz. Zdjęcie zrobione Nikonem F3P z obiektywem Nikkor 35 – 200 mm f/3.5, na kliszy Kodachrome 64.

Eksperymenty z fleszem

Byłem tam zarówno studentem, jak i fotografem. Nie licząc krótkiego epizodu z odłowem muflonów, nie miałem wcześniej okazji bezpośrednio uczestniczyć w pracach biologów. Fotografowanie naukowców przy pracy, tak by zdjęcia dokumentowały ich działania, było dla mnie nowością. Wiedziałem, że będę musiał często fotografować w cieniu, bo było upalnie, więc schwytane ptaki trzeba było trzymać w zacienionych miejscach. Fotografowanie w cieniu oznacza ciemny obiekt pierwszoplanowy i jasne tło. Jedyny środek zaradczy to flesz wypełniający. Fotografowałem aparatem F3P z fleszem SB-16a działającym w systemie TTL. Było to wielki krok naprzód w tamtych czasach, lecz nie da się tego porównać ze sprzętem dostępnym obecnie. Teraz w każdej chwili możesz sprawdzić oświetlenie na ekranie LCD. Na dodatek musiałem odmontowywać flesz od aparatu za każdym razem, gdy zmieniałem film, inaczej przycisk do przewijania nie był dostępny.



Obrączkowanie modrowronki z Santa Cruz. Zdjęcie zrobione Nikonem F3P z obiektywem Nikkor 35 – 200 mm f/3.5, na kliszy Kodachrome 64.

Flesz nie był dla mnie nowością — ani też współdziałanie flesza z aparatem. Jednak zapanowanie nad tym wszystkim przy fotografowaniu pracy biologów było dość kłopotliwe, zwłaszcza że poza fotografowaniem miałem też inne zajęcia (byłem nie tylko fotografem, lecz również pomocnikiem). Przed wyjazdem na wyspę wykonałem trochę testów, ale nie przyszło mi do głowy, by testować zbliżenia osób robiących coś rękami ukry-

Jak już wspominałem, we wszystkich tych projektach uczestniczyłem — i nadal uczestniczę — bezpłatnie. Jestem ochotnikiem. W gruncie rzeczy to ja płacę za prawo uczestnictwa w tych zdarzeniach, udostępniając biologom odbitki moich zdjęć. Obecnie wystarczy w tym celu skopiować pliki, wtedy musiałem rzeczywiście zamawiać wywołanie drugiego kompletu przezroczy.

tymi w głębokim cieniu pod drzewami. Więc przyszło mi eksperymentować na Charliem, gdy wzięliśmy się już do pracy.

SB-16a to był duży, masywny flesz bez żadnych bajerów, ale o mocy zbliżonej do tych używanych obecnie. Kable pozwalające połączyć go z aparatem na odległość były wtedy dostępne (rozdwoiłem kiedyś taki kabel, fotografując kolibry), ale nie przyszło mi wówczas do głowy, by zabrać taki kabel, więc wszystkie zdjęcia zostały zrobione z fleszem na aparacie. Nie najlepsze rozwiązanie. A co udało mi się zrobić dobrze? Flesz SB-16a pracujący w systemie TTL nie pozwalał wprowadzać kompensacji — za każdym razem wysyłał taki sam błysk. Musiałem ograniczyć jego jasność, stosując podstawową regułę obliczeniową opartą na odległości między fleszem a obiektem i korzystając z karty.

Wszystkiego tego musiałem dokonać bez podglądu na ekranie LCD. Na szczęście moje wyliczenia okazały się słuszne, bo zdjęcia wyszły. Dostałem Charliemu dokumentację, której potrzebował, i nie zblazniłem się. W gruncie rzeczy wyszło nawet nieźle. Nawiązałem więc nowe znajomości i podbudowałem swą reputację; jedno i drugie jest korzystne w karierze fotografa.

Ludzie potrafią

Oglądałem dużo telewizji. Mówiąc ściślej — słucham dużo telewizji. Bieżące zdarzenia i trendy wpływają na to, co robię. Wcześniej też zorientowałem się, że to mi czasem pomaga dowiedzieć się więcej o gatunkach zwierząt, z którymi chcę pracować. Oprócz tego czytam wszystko, co mi wpadnie w ręce. Wykorzystywałem moją rosnącą sieć kontaktów w departamentach rybo-

łówstwa i turystyki oraz ochrony przyrody, by otrzymywać kopie sprawozdań dotyczących tych gatunków (pamiętajcie, że nie było wtedy jeszcze Google'a, więc researching trzeba było wykonywać w tradycyjny sposób).

Otóż w tamtym czasie Chevron zapoczątkował kampanię reklamową pod hasłem *People Do* („ludzie w działaniu”). Jej tematem były liczne zagrożone gatunki oraz działania, jakie firma podjęła dla ich chronienia. Później okazało się, że była to po prostu dobra kampania reklamowa — i tyle. Jednym z zaprezentowanych gatunków był lis długouchy z rejonu San Joaquin. Zobaczyłem go w reklamie i poczułem, że to zwierzątko poru-

sza we mnie jakąś czułą strunę. Wspomnienie mego krótkiego spotkania z lisem z wyspy Santa Cruz i moje wewnętrzne przekonanie upewniły mnie, że chcę fotografować lisa długouchego. To był pierwszy gatunek, z którym miałem pracować na mocy własnej, świadomej decyzji. Los nie wybrał go za mnie. A może jednak tak?

W tym samym czasie powstała firma WRP (ang. Wildlife Research Photography, czyli „przyrodnicza fotografia badawcza”), a jej pierwszym pracownikiem została Sharon, moja tajna broń — wtedy i aż do dziś. Przy tym wieczorami wciąż jeszcze pracowała na część etatu. Ten rozkład czasowy oka-



Modrowronka z Santa Cruz. Zdjęcie zrobione Nikonem F3P z obiektywem Nikkor 400 mm f/5.6 z TC-14, na kliszy Kodachrome 64.



Szczur kangurowy z Morro Bay. Zdjęcie zrobione Nikonem F4e z obiektywem Nikkor 35 – 70 mm f/2.8 z nasadką powiększającą 6T, na kliszy Fuji 100.

zał się korzystny, bo gdy ja siedziałem w dzień w sklepie, Sharon pełniła dyżur przy telefonie w biurze (została nim nieużywana sypialnia w naszym domu), próbując zdobyć namiary na biologa pracującego z lisami długouchymi w Bakersfield i umówić mnie z nim na spotkanie. Zapakowałem sprzęt do bagażnika mojego camaro, włącznie z moim ostatnim piesszczoskiem, nowym Nikkorem 800 mm f/5.6 IF-ED (świetny obiektyw!).

Dlaczego fotografuję sprzętem Nikona? Flesz! Flesz to podstawowe narzędzie przy fotografowaniu przyrody, a rozwiązania Nikona w tym zakresie są wyjątkowo proste. A ja wyznaję zasadę: „Rób wszystko najprościej, jak się da”.

George pracował dla BLM (U.S. Bureau of Land Management). Jego praca z lisami długouchymi nie była związana z poszczególnymi osobnikami, jak w większości projektów badawczych, o jakie się dotąd otarłem, a które bez wyjątku miały praktyczny charakter. Zajmował się monitorowaniem gatunku jako całości w jego siedlisku, czyli w południowej części Doliny Kalifornijskiej. Trochę się denerwowałem, bo George był znaną i ważną osobą w środowisku biologów. Zaznajomił mnie z podstawami biologicznej i politycznej historii Doliny Kalifornijskiej. Nie widzieliśmy tego dnia żadnego lisa. Zobaczyłem jednak południową część Doliny i dowiedziałem się sporo o tym, jak ten obszar był niszczone, eksploatowany i przekształcany na przeróżne sposoby, tak że lisom długouchym przyszło walczyć o przetrwanie na powierzchni nie większej niż 10% pierwotnie przez nie zajmowanego obszaru.

Byliśmy na terenach Departamentu Obrony (U.S. Department of Defence) oraz Departamentu Energii (U.S. Department of Energy), jak również na terenach wykupionych przez Chevron, Santa Fe Petroleum, Exxon i Arco. Tylko gdzieś między rurociągami i zbiornikami znajdował się jakiś skrawek terenu publicznego. Do tego jeszcze należy dodać tereny Narodowej Rezerwy Paliw (National Strategic Petroleum Reserve) w Elk Hills. George pokazał mi miejsca, gdzie gnieźdzą się lisy długouchy, objaśnił, na co polują i jakich mają naturalnych wrogów, a w końcu znaleźliśmy nawet lisa zabitego na drodze (powinienem go pewnie sfotografować, ale tego nie zrobiłem). Przez większość dnia George zajmował się katalogowaniem wykroczeń, takich jak wycieki ropy zagrażające chronionym roślinom lub siedliskom lisa długouchego. To był szary, wilgotny i ponury zimowy dzień, a to, co widziałem, nie uczyniło go ani trochę lepszym.

Skończyliśmy dzień w Lost Hills. Skręciliśmy w środku pustkowia z szosy 33 i podjechaliśmy pod dwie przyczepy biurowo-magazynowe. Wysiedliśmy z samochodu i zobaczyliśmy przed sobą parę kopców, oddalonych od siebie o jakieś 6 metrów. Musiałem chyba popatrzeć na nie ze zdziwieniem, bo George powiedział: „To jest właśnie to”. „To jest co?” — spytałem. To były właśnie schrony dla lisów długouchych, sztuczne nory, o których Chevron nakręcił reklamę w cyklu *People Do*. W niczym nie przypominały tego, co pamiętałem z telewizji. Potem George opowiedział mi ich historię.

Robotnicy pracujący na polu naftowym ciągle widywali lisy długouchy i w końcu je polubili. Lisy miały zwyczaj chować się pod przyczepami, a robotnicy je dokarmiali, tak że w końcu prawie się oswoiły. Jeden stary dziwak postanowił zrobić więcej, więc na podstawie informacji, jakie zdobył od jakiegoś biologa, zbudował te dwa schrony. Była to jego własna, nieoficjalna inicjatywa i nie miała nic wspólnego z jakimkolwiek programem rekompensaty za szkody wyrządzone środowisku.

Później firma została wykupiona przez Chevron. Jakiś bystry specjalista od marketingu usłyszał o całym zdarzeniu i tak narodziła się reklama. Tak naprawdę nory były wykorzystywane tylko przez kilka dzikich królików i nikt nigdy nie widział, by jakiś lis choćby spojrzał na nie. Na potrzeby reklamy Chevron wynajął tresera, który nauczył schwytanego w niewolę lisa biec po ścieżce tak, jakby uciekał przed kojotem, miotać się w panice, gdy znalazł się w ślepym zaułku, a potem chować się w sztucznej norze. W sztucznej norze, w której nigdy nie było żadnego dzikiego lisa.

Bączek amerykański. Zdjęcie zrobione Nikonem F3/T z obiektywem Nikkor 400 mm f/5.6, na kliszy Kodachrome 64.



ROZDZIAŁ 3.

Czy fotografowanie w zoo można uznać za rodzaj fotografii przyrodniczej? Cóż, fotografowanie zwierząt w niewoli to dla wielu osób jedyny sposób, by w ogóle je fotografować. Osobiście nie robiłbym z tego problemu, choć zoo to nie moja działka. Może to być jednak świetny poligon doświadczalny. Jeśli masz w planach, powiedzmy, fotografowanie niedźwiedzi grizzly, a nigdy wcześniej tego nie robiłeś, to postąpisz słusznie, idąc najpierw do zoo, by wypróbować obiektyw, przetestować ustawienia ekspozycji itp. Tam łatwiej to zrobić; gdy spotkasz się z niedźwiedziem oko w oko, nie będziesz mieć czasu na eksperymenty. Postaraj się wyczerpać listę wszystkich możliwych błędów, jakie możesz popełnić, zanim okazja zapuka do Twoich drzwi.



Biolog przy pracy z lisem długouchym na jednym z pól roponośnych w pobliżu Bakersfield. Zdjęcie zrobione Canonem EOS-1D Mark II N z obiektywem Canon EF 17 – 40 mm f/4 L USM, na cyfrowym filmie Lexara.

Droga powrotna dłużyla mi się. Spotkałem się z George'em tylko ten jeden raz, a później chyba jeszcze tylko raz się z nim kontaktowałem, lecz wiele mu zawdzięczam. Otworzył mi oczy na to, jak w Kalifornii wygląda ochrona przyrody od kuchni. To nie był idylliczny świat wyspy Santa Cruz.

Uderzyło mnie, jak bardzo pokręconym społeczeństwem jesteśmy. Dość pokręconym, by niszczyć własne naturalne środowisko dla pieniędzy — to nic nowego. Ale też dość pokręconym, by tworzyć fałszywe reklamy rzekomych działań naprawczych. Czego to dowodzi? Mając pełną świadomość tego, jak bardzo zaszkodziliśmy przyrodzie, ukrywamy to pod płaszczkiem przyjaznego stosunku do zwierząt i dalej zarabiamy pieniądze, bo tylko one się liczą. Chevron miał później kłopoty z powodu tej reklamy i na podstawie zakulisowej ugody musiał wpłacić pewną sumę pieniędzy na jakieś szczytne cele.

Jak Keebler wziął mnie w niewolę

Czułem, że nie potrafię się z tym pogodzić. Tylko co właściwie mogłem zrobić — ja, 28-letni, bliski ruiny fotograf z rodziną, która wkrótce miała się powiększyć? (To pytanie dalej mnie dręczy, codziennie. Nic się właściwie nie zmieniło poza tym, że dzieci są teraz w college'u). Wszystko rozbija się o wielkie korporacje, o interesy rządowe, o obojętność opinii publicznej. Więc co mogłem zrobić? Postanowiłem zacząć od znalezienia lisa długouchego z San Joaquin. Musiałem go zobaczyć na własne oczy i jeśli tylko się da, sfotografować.

Sharon zaczęła wydzwaniać, gdzie się dało. Jednak znalezienie dzikiego lisa długouchego, który będzie siedział sobie i czekał, aż podjadę zrobić mu zdjęcie, nie jest sprawą do załatwienia przez telefon. Jednak Sharon odkryła miejsce, gdzie były trzymane dwa takie lisy — CALM, czyli California Living Museum (mieliśmy tam kiedyś później wystawę i podpisywaliśmy książki). Przyjmowali tam zranione lub chore zwierzęta do leczenia, a potem wypuszczali je, jeśli ich stan na to pozwalał. Jeśli nie, zostawały u nich i można je było oglądać. Sharon załatwiła nam wejście przed godzinami otwarcia, żebyśmy mogli spróbować sfotografować ich dwa lisy.

CALM mieści się w Bakersfield. To była dość długa podróż, zwłaszcza dla Sharon, która była już w piątym miesiącu ciąży. Obiecano nam, że będziemy mogli wejść do pomieszczenia, w którym przebywają lisy, by robić im zdjęcia. Fotografowanie uwięzionego zwierzęcia nie pociągało mnie, nie lubię



Keebler, lis długouchy
z San Joaquin.
Zdjęcie zrobione
Nikonem F3P
z obiektywem
Nikkor 300 mm f/2.8,
na kliszy
Kodachrome 64.

MOOSE PETERSON GALLERY SERIES

ROZDZIAŁ 3.

tak pracować. Nigdy wcześniej nie fotografowałem żadnego zwierzęcia w klatce, nie miałem więc pojęcia, jak powinienem się przygotować. Pozytywnie z pracy obiektyw 300 mm f/2.8, bo pomyślałem, że przysłona f/2.8 pomoże mi usunąć z kadru otoczenie — wszystko, co ma związek z klatką. Dojechaliśmy na miejsce, przywitaliśmy się z bardzo miłymi pracownikami tej instytucji i zostaliśmy zaprowadzeni do klatki lisów. Znow był szary, zimowy dzień, moim zdaniem całkiem odpowiedni na zrealizowanie tego przygnębiającego zadania.

Weszliśmy do pomieszczenia dla lisów. Pierwszy, którego nam pokazano, był w bardzo złym stanie. Jak się okazało, parę tygodni później zdechł. Spojrzał na nas wielkimi, ciemnymi oczami i wydobył z siebie słaby pomruk dezaprobaty, a potem znów położył łeb na łapach i zignorował nas. Wtedy wyszedł Keebler, dorodny samiec w pełnym zimowym futrze. Stał i popatrzył na nas, a my natychmiast się w nim zakochaliśmy. Te zwierzątka, mniejsze od domowych kotów, mają najbardziej wyraziste oczy, jakie można sobie wyobrazić. Oczy, które zaglądają prosto w duszę. To było wspaniałe stworzenie i oczywiście nic nie mogło mnie już powstrzymać przed sfotografowaniem go.

Wyglądał na idealnie zdrowego, w przeciwieństwie do swego towarzysza, spytałem więc, dlaczego nie został wypuszczony. „To ten, który zagrał w reklamie Chevrona” — usłyszałem od pracownika CALM. „Sprowadzili tresera zwierząt z Hollywood, który w tydzień nauczył go biec po ścieżce i udawać przerażonego na sygnał”. „Jak to zrobili?” — spytałem. „Uwielbia ciasteczka Keeblera, więc dostawał je w nagrodę, gdy wykonał sztukę. I stąd się wzięło jego imię”. I tak cała historia zatoczyła koło. I jak tu nie wierzyć w przeznaczenie? To była jedna z tych chwil, w których nabiera się pewności, że idzie się we właściwym kierunku.

Często słyszę pytanie, jak to się stało, że zająłem się fotografowaniem przyrody. Zwykle mówię: „Tak się po prostu zdarzyło. Tak się ułożyło życie. Nie planowałem tego”. Spotykam się wtedy z niedowierzaniem. Nie umiem jednak opowiedzieć całej tej historii w dwóch czy trzech zdaniach. Nie planowałem tego, że wzruszy mnie obojętna reklama telewizyjna, nie mogłem przewidzieć, że spotkam biologa, który pokaże mi jej drugą,

ciemną stronę, ani że spotkam się z lisem, który został wytresowany do tej reklamy i w ten sposób na zawsze rozstał się ze swymi dzikimi pobratymcami. Nie załatwiliśmy tego wszystkiego sami, nie mieliśmy wtedy potrzebnych do tego umiejętności ani też — bądźmy szczerzy — pieniędzy i kontaktów. Jednak życie tak się właśnie potoczyło.

A co z Keeblerem? Cóż, sfotografowałem go. Ta klatka stanowiła naprawdę okropne tło. Stałem na zewnątrz i fotografowałem z obiektywem wsuniętym między druty ogrodzenia, gdy Keebler ułożył się naprzeciwko mnie. Był oddalony o jakieś półtora metra. Popatrzył na mnie, a potem położył łeb i zaczął przysypiać; zdążyłem w tym czasie trzy razy nacisnąć spust migawki. Jedną z uchwyconych wtedy póź umieszczam dotąd w niemal każdym moim pokazie slajdów — nigdy nie zapomnę Keeblera. To zdjęcie znalazło się też na plakatach dotyczących ochrony środowiska, wykorzystano je w niezliczonych kompaniach informacyjnych, publikowano je w rządowych raportach i podsumowaniach, na okładkach czasopism i w prawie każdym artykule, jaki kiedykolwiek napisano o lisach długouchych. Keebler dawno zdechł, lecz wciąż jest najlepiej znanym reprezentantem swego gatunku i działa na rzecz jego ochrony. Jest też powodem, dla którego po dziś dzień corocznie wybieram się fotografować lisy długouchy — to najdłuższy kontynuowany projekt w moim życiu. Jak na takie małe stworzenie, udało mu się wywrzeć naprawdę spory wpływ na świat.

Od 1980 roku jestem wielbiciele marki Nikona i wciąż uwielbiam zapach nowego sprzętu. Jednak po spotkaniu z Keeblerem zacząłem patrzeć na aparaty i obiektywy inaczej. Wyposażenie nie ma aż takiego znaczenia — znaczenie ma to, do czego ono posłuży. Wystarczy mieć taki sprzęt, który pozwoli fotografować zagrożone wyginięciem zwierzęta i biologów przy pracy, nie utrudniając przy tym życia ani jednemu, ani drugiemu. Po

Te zwierzątka, mniejsze od domowych kotów, mają najbardziej wyraziste oczy, jakie można sobie wyobrazić. Oczy, które zaglądają prosto w duszę. To było wspaniałe stworzenie i oczywiście nic nie mogło mnie już powstrzymać przed sfotografowaniem go.

Jakiego ssaka lubię fotografować najbardziej?
Lisa długouchego z San Juan, a na drugim miejscu — łosia.

wyznaczeniu sobie tego nowego życiowego kierunku wróciłem do mojego sklepu w trochę lepszym nastroju. Trochę, bo mimo wszystko wciąż nie uszczęśliwiało mnie to, że muszę zarabiać na życie w sklepie, zamiast być w terenie z aparatem.

Historia lisa długouchego jest zawsze obecna w mej pamięci. Gdy byłem mały, moja rodzina miała zwyczaj w każdą sobotę pakować samochód i wyruszać na wólcę. Podróżowaliśmy po Kalifornii, odkrywając nowe krajobrazy. Sharon też tak wychowano, więc nic dziwnego, że razem chętnie kontynuowaliśmy tę tradycję. Keebler jednak zmienił nasze postrzeganie świata. Zamiast krajobrazów zaczęliśmy widzieć habitaty, a poszukiwanie ciekawych rzeczy do obejrzenia zamieniło się w poszukiwanie rzeczy, których nikt nie ogląda.

Jeden gatunek prowadzi do drugiego

W tamtym czasie chcieliśmy poznać lepiej habitat lisa długouchego, a raczej to, co z niego pozostało. Zbierając informacje o tym gatunku, natknąłem się na wiadomość, która po prostu zwała mnie z nóg: otóż lisy długouche żywią się zwierzętami innego zagrożonego gatunku, a mianowicie szczurami kangurowymi. Olbrzymi szczur kangurowy (przez biologów określany skrótem GKR, od *giant kangaroo rat*) jest kluczem do zachowania równowagi biologicznej w obszarze Doliny Kalifornijskiej. Zależy od niego przeżycie susła z gatunku *antelope ground squirrel* z rejonu San Joaquin (*Ammospermophilus nelsoni*), tęponosej jaszczurki plamistej (*Gambelia sila*) i kilku chronionych roślin. To był temat, z którym warto się było zapoznać bliżej.



Tęponosa jaszczurka plamista (blunt-nosed leopard lizard). Zdjęcie zrobione Nikonem D2H z obiektywem AF-S II Nikkor 600 mm f/4 z TC-14E II, na cyfrowym filmie Lexara.

ROZDZIAŁ 3.

Czy jest jakieś obuwie, które można by polecić jako najlepsze dla fotografa dzikiej przyrody? Naprawdę chciałbym, żeby istniała jedna marka, jeden typ butów dobry na wszystkie okazje. Czasem boję się, że cierpię na jakąś manię zakupów, gdy zaglądam do swojej szafy i widzę w niej buty spacerowe, lekkie buty turystyczne, ciężkie buty turystyczne, boty śniegowe LaCrosse Ice King (na temperatury do -40°), buty z długimi cholewami, gumki do kolan, a nawet rybackie buty sięgające do bioder. Zajmując się fotografowaniem przyrody, będziesz na nogach cały dzień, więc wygodne buty — często muszą być też wodoodporne — są naprawdę ważne. To z pewnością jest jeden z ukrytych kosztów fotografii.

Sharon wykonała parę telefonów i skontaktowała się z jednym z biologów pracujących w wydziale ochrony przyrody w California Department of Fish and Game. Ron podał jej nazwisko profesora, który zajmował się szczurami kangurowymi i doprowadził do wpisania ich na listę zagrożonych gatunków. Był on między innymi twórcą listy wszystkich zagrożonych ssaków w Kalifornii (herkulesowa praca!). Co więcej, profesor ten właśnie zainicjował projekt związany ze szczurami kangurowymi w miejscu, które dość dobrze znaliśmy — na Carizzo Plain. Otrzymawszy te informacje, Sharon znów zawisła na telefonie. Tak, i lisy długouchie też tam mieszkają!

W tym czasie wprowadzono parę innowacji w branży fotograficznej. Nikon wprowadził na rynek model N8008, aparat z wbudowanym silniczkiem i fleszem TTL. Równocześnie pojawił się flesz SB-24, poprzednik dzisiejszego SB-900. Flesz ten umożliwiał wprowadzanie kompensacji (hurra!).



Susel z podgatunku mohave ground squirrel. Zdjęcie zrobione Nikonem F5 z obiektywem Nikkor 800 mm f/5.6 z TC-14, na kliszy Kodachrome 64.

To było ważne udoskonalenie w mojej pracy. Mniej więcej wtedy producent klisz Kodachrome zmienił ich parametry, w związku z czym przerzuciłem się na klisze Fuji. To oznaczało nagłe zwiększenie czułości — w ASA z 80 na 125. Przy pracy z fleszem to była zaleta. Dlaczego o tym mówię? Szczur kangurowy to nocne zwierzę, więc trzeba fotografować go z fleszem. Musiałem zrobić testy. Nie mogłem wymyślić, czym w moich testowych zdjęciach zastąpić szczura kangurowego, więc w końcu użyłem wełnianej skarpety wypchanej papierem. To zadziałało.

Sharon udało się nawiązać telefoniczny kontakt z Danem, kierownikiem projektu, o którym nam opowiedziano. Potem zadzwoniła do mnie do sklepu i połączyła nas. Dan był bardzo zadowolony, że przyjeżdżamy, dał nam wskazówki dotyczące dojazdu i objaśnił, kiedy możemy go zastać przy pracy. To było 10 dni przed planowanym terminem porodu Sharon! Jej lekarz nie był zachwycony pomysłem, lecz Sharon chciała jechać. (Od czasu tej podróży Sharon szczerze nienawidzi prymitywnych toalet „kuca-nych”; chyba zgadniecie, dlaczego.) Kiedy więc nadszedł ten dzień, spakowaliśmy się i ruszyliśmy w drogę. Dan i Sue (jego żona) mieli zostać na równinie przez kilka dni, obozując. Zaprośili nas, byśmy do nich dołączyli. Jednak Sharon była w tak zaawansowanej ciąży, że spanie na ziemi odpadało. Pojechaliśmy więc na jeden dzień.

Obóz był zlokalizowany w miejscu, w którym większość ludzi nie chciałaby nawet przystanąć. Nagie brunatne zbocze wznosiło się do kamienistego grzbietu, który był częścią uskoku San Andreas. Przez 320 dni w roku nie było tu śladu wegetacji. W zimie było tu lodowato, w lecie morderczo gorąco. My jednak uznaliśmy, że jest tam wspaniale. Nie można oceniać książki po okładce, a krajobrazu przez szyby samochodu.

Czy trzeba się nauczyć łaciny? Pyta mnie o to wiele osób, które chciałyby z przyrodniczej fotografii uczynić swój zawód. Sam umiem nazwać po łacinie tylko jeden gatunek: *Rattus rattus*. Co to jest? To szczur norweski, ten szczur zamieszkujący ścieki i śmietniki, którego często widuje się w horrorach (nigdy go nie fotografowałem). Na tej podstawie sam wydedukuj, jak istotna jest znajomość łaciny.

Szczur drzewny z podmokłych terenów leśnych (*Neotoma fuscipes riparia*). Zdjęcie zrobione Nikonem F5 z obiektywem Micro-Nikkor 60 mm f/2.8, na kliszy Agfa 100.





Dr Dan Williams przy pracy nad szczurami kangurowymi.
Zdjęcie zrobione Nikonem N8008 z obiektywem
Nikkor 35 – 70 mm f/2.8, na kliszy Kodachrome 64.

Większość fotografów specjalizujących się w fotografowaniu przyrody zupełnie nie stara się rozwijać swych umiejętności w zakresie portretowania ludzi. Tymczasem zdjęcia portretowe są ważną częścią opowiadanej historii. Gdy sfotografujesz obserwatora ptaków, instruktora czy biologa przy pracy i dodasz te zdjęcia do pokazu, zainteresowanie widowni będzie znacznie większe.

Jak fotografować popcorn na patelni

Przedstawiliśmy się sobie i chwilę potem byliśmy już na stanowisku badawczym. W tym projekcie była to długa linia pułapek rozstawionych w precyzyjnie ustalonych odstępach. Nie pamiętam już teraz, dlaczego Dan sprawdzał wtedy pułapki wczesnym rankiem, lecz to był jedyny raz, gdy mogłem z nim pracować, ciesząc się ciepłem promieni słońca. Miałem na ramieniu Nikona F3P z obiektywem 35 – 70 mm f/2.8, gdy zaczęliśmy wędrowkę wzdłuż sieci pułapek.

To wszystko było dla mnie zupełnie nowe — w każdym aspekcie: od lokalizacji po wykonywane czynności. Nieustannie więc zadawałem pytania. Dan wspaniale wywiązywał się z obowiązków gospodarza, dostarczając mi niezliczonych objaśnień i naukowych faktów, dzieląc się ze mną swą pasją. Sue w tym czasie sprawdzała, czy Sharon ma się dobrze i czy Dan nie zapomina o robieniu tego, co akurat powinien robić ze szczurami kangurowymi, mimo że rozpraszałem go, jak tylko mogłem.

Całkiem sporo szczurów kangurowych lub — krócej — GKR (od *giant kangaroo rat*) zostało schwytanych tego ranka i poddanych „obróbce”. Te zwierzątka w niczym nie przypominają szczurów, które pamiętasz z horrorów, tych, które przychodzą wszystkim na myśl, gdy ktoś wypowie słowo „szczur”. Ich sposób poruszania się jest bardzo unikalny: wykorzystują swój ogon do tego, by skakać jak kangury (stąd ich nazwa). Będąc w powietrzu, potrafią za pomocą ogona zmienić kierunek skoku o 90°. Ich futerko jest bardzo mięciutkie i są niewiarygodnie miłe w dotyku. W nocy możesz wyciągnąć się na ziemi i położyć płasko na jej powierzchni dłoń wypełnioną ziarnem, a wtedy wskoczą Ci na rękę i wyjedzą wszystkie ziarenka, co do jednego. Nawet nie poczujesz ich ciężaru, tylko dotyk malutkich łapek. I do tego te wielkie oczy!

Tego dnia zostaliśmy aż do zmroku, by zobaczyć jak GKR wychodzą z norek i zaczynają swe nocne życie. To była kolonia złożona z około 260 osobników rozproszonych na przestrzeni paru akrów. Zawsze też trafia się między nimi trochę „szczurów obozowych”, które zamiast przebywać w obszarze badań, wolą eksplorować obozowisko; dostępność wszelkich rodzajów ziarna szybko je psuje. W tej sytuacji mój nowy sprzęt okazał się bardzo pomocny.

Do tego czasu biologowie zajmujący się kolonią GKR próbowali fotografować ich nocną aktywność, trzymając latarkę między kolanami i usiłując jednocześnie nastawić ostrość i utrzymać poruszające się zwierzątko



Szczur kangurowy. Zdjęcie zrobione Nikonem N8008 z obiektywem Micro-Nikkor 200 mm f/4, na kliszy Kodachrome 64.

w snopie światła. Gdy ustawili zoom i przysłonę, mieli w najlepszym razie czas na jedno kliknięcie. Kiedy więc wyjąłem mojego N8008 z fleszem SB-24, naprawdę przyciągnąłem uwagę Dana. Mając do dyspozycji podświetlenie autofokusa, flesz SB-24 pracujący w systemie TTL i wbudowany napęd obiektywu, trzaskałem zdjęcie za zdjęciem. Naświetliłem kliszę w mig. Muszę przyznać, że fantastycznie się bawiłem, fotografując GKR skaczące we wszystkie strony w poszukiwaniu rozsypanych dla nich ziaren. Ruszały się zupełnie jak popcorn na patelni! To był wspaniały dzień.

Zdjęcia wyszły nieźle. Zrobiłem kopie i wysłałem do Dana. Ucieszył się bardzo. Powiedział, żebyśmy zaglądali, kiedy tylko zechcemy, i obiecał informować nas o swych planowanych przedsięwzięciach. Rzeczywiście, spotykaliśmy się w terenie przez następne 20 lat i Dan został jednym z moich najważniejszych mentorów, ucząc mnie tak wiele, że nie umiem wyrazić całej mej wdzięczności. Nasz syn Brent, który urodził się wkrótce po tej wycieczce, obchodził z nami na tej kamienistej równinie niejedne urodziny, towarzysząc nam przy pracy nad GKR.

Sukces i frustracja

Trudno jest wyjaśnić ludziom, którzy nigdy sami tego nie robili, jak wyglądają badania przyrodnicze w praktyce. To zwykle jest samotna praca — długie godziny spędzane w warunkach, które mogłyby odstraszyć niejednego. Nagrodą jest zdobycie informacji, które czasem — tak było w tym przypadku — mogą uratować przed zagładą gatunek albo cały ekosystem. Miałem wielką satysfakcję, gdy okazało się, że zdjęcia wyszły rewelacyjnie i otrzymałem w rezultacie świetny pokaz slajdów, drugi na liście mych ulubionych, prezentujący mnie i moją rodzinę uczestniczącą w badaniach prowadzonych na kamienistej równinie (to zdarzyło się w czwartym roku naszej współpracy z Danem). Miałem też satysfakcję, kiedy projekt okazał się tak ważny, że szef BLM (U.S. Bureau of Land Management), sekretarz departamentu spraw wewnętrznych (U.S. Departament of Interior¹) i gubernator stanu przybyli na miejsce badań. Spróbuj sobie wyobrazić mnie w tym gronie — zwykłego fotografa, który znalazł się tam właściwie przypadkiem!

A potem, pewnego dnia, zobaczyłem swoje nazwisko na liście osób zaangażowanych w federalny plan ratowania zagrożonych gatunków i dotarło do mnie, że być może moja działalność i moje zdjęcia mają jakieś znaczenie. Nawet się bardzo nie zdziwiłem, gdy okazało się, że moje pierwsze zdjęcie opublikowane w „National Geographic” to było zdjęcie szczura kangurowego (Dan powiedział mi później, że to zdjęcie miało większy wpływ na przyszłość tego gatunku niż cokolwiek innego, co zostało w tej sprawie zrobione). W końcu pewnego dnia na kamienistej równinie odbyła się mała ceremonia i zostałem obdarowany dyplomem stwierdzającym, że jestem badaczem zasłużonym dla programu ochrony zagrożonych gatunków (Endangered Species Recovery Program). Byłem tak szczęśliwy, że z trudem powstrzymałem łzy wzruszenia.

Wybraliśmy się na równinę tylko dlatego, że GKR to gatunek odgrywający wielką rolę w życiu lisów długouchych z San Joaquin, krócej: SJKF (ang. *San Joaquin kit fox*). Choć na równinach znaleźliśmy wszystkie inne ogniwa łańcucha, to SJKF tam nie spotkaliśmy. Dan wypełnił wiele luk w naszej wiedzy na ten temat, pora więc była zająć się w końcu samym lisem.

 A potem, pewnego dnia... dotarło do mnie, że być może moja działalność i moje zdjęcia mają jakieś znaczenie. 

Sprecyzowałem wtedy do końca zadania, jakie postawiłem przed sobą jako fotograf. Z pierwszej wyprawy do siedliska GKR wróciłem z poczuciem niedosytu. Czemu? Użyłem najnowszej techniki i zrobiłem całkiem niezłe zdjęcia, nie robiąc przy tym żadnej krzywdy fotografowanym stworzeniom. Zdałem sobie jednak sprawę, że utrwaliłem tylko drobne urywki tej historii. GKR to więcej niż ładne stworzonko siedzące przed swoją norą. Portrety nie wystarczą. Są potrzebne wydawcom, znakomicie się nadają na okładki, ale mnie to nie zadowala. Chcę sfotografować całe życie zwierzęcia, którym się zajmuję. Poczuliem się przygnębiony. Kto, u licha, zapłaci mi za to, że będę fotografować zwierzęta, które nikogo prawie nie obchodzą, tak żebym mógł poświęcić temu moje życie? Odpowiedź była oczywista: nikt. Zrozumiałem, że mogę to robić tylko wtedy, gdy sam to sfinansuję.

Wtedy naprawdę dopadła mnie frustracja. Do mojego sklepu przyszedł klient, który właśnie dostał grant w wysokości 25 000 dolarów, żeby nagrywać dźwięki fletu na tle szumu afrykańskiej sawanny. Potrzebował aparatu, żeby sfotografować to przedsięwzięcie, i wyszedł ze sprzętem za 23 000 dolarów. Przyszedł inny, którzy właśnie wybierał się na safari. Kupił aparat za 18 000, planując, że wręczy go nastolatkiwioi poznanemu w parafialnym kościele, którego zadaniem będzie fotografować wyprawę. Ale nikt nie był skłonny dać ani dolara na fotografowanie zagrożonych miejscowych gatunków.

Odkrywanie własnego podwórka

Pewnego dnia Sharon zadzwoniła do sklepu i powiedziała, że Charlie właśnie zatelefonował i spytał, czy nie chciałbym dołączyć do projektu związanego z rybitwami. Zajmował się przede wszystkim miejscową populacją rybitwy białoczelnej, ale po części też rybitwy kalifornijskiej i coroczną migracją tych ptaków do południowej Kalifornii, gdzie gniazdowały. Praca na plaży mieściła się w naszym budżecie — to było zaledwie kilka godzin jazdy od domu i mogliśmy zatrzymać się u rodziny. Chociaż pochodziliśmy z wybrzeża, niewiele wiedzieliśmy o nadmorskim ekosystemie. Była to więc świetna okazja, by dowiedzieć się więcej o własnym „podwórku”.

¹ Departament Spraw Wewnętrznych w USA zajmuje się geodezją, kształtowaniem krajobrazu, parkami narodowymi itp., podczas gdy „sprawami wewnętrznymi” rozumianymi tak, jak się je rozumie w Europie, zajmuje się Departament Bezpieczeństwa Narodowego i po części Departament Sprawiedliwości — *przyp. tłum.*



Brzytwodziób amerykański.
Zdjęcie zrobione Nikonem F3/T
z obiektywem Nikkor 800 mm
f/5.6, na kliszy Kodachrome 64.



Kalifornijska rybitwa białoczarna
z pisklęciem. Zdjęcie zrobione
Nikonem F3/T z obiektywem
Nikkor 800 mm f/5.6 z TC-14,
na kliszy Kodachrome 64.

ROZDZIAŁ 3.

Charlie umówił się z nami na spotkanie w Huntington Beach, na parkingu przy zjeździe z Pacific Cost Highway. Gdy Sharon powiedziała mi, gdzie mamy się stawić, byłem trochę zaskoczony — to było miejsce, do którego za młodych lat wybierałem się surfować. Chodziło o nowo założony rezerwat o nazwie Bolsa Chica, ufundowany przez port Los Angeles jako rekompensata za dewastację części wybrzeża. Przeszliśmy przez most, przez zamykaną na klucz furtkę w ogrodzeniu, usadowiliśmy się w tyle pikapa i pojechaliśmy na North Island. Całe to miejsce jest trochę surrealistyczne: na wschodzie widać pompy pracujące na polu naftowym, na zachodzie — ocean, a w środku znajduje się stworzony przez człowieka staw o powierzchni paru akrów (wypełniony falą przypływu) z usypanymi na nim dwoma sztucznymi wyspami. Gdy zakręciliśmy i zbliżyliśmy się do wysp, okazało się, że są pokryte czymś, co wygląda jak porusza-

jący się śnieg. Co za przedstawienie?! Najpierw byłem zdumiony, potem na moment wpadłem w panikę. Jak to wszystko pokazać jednym pstryknięciem, w pojedynczym obrazie? Nagle poczułem, jak budzi się we mnie lew. Myślicie, że nie dam rady? Tylko mnie tam wpuścić!

Poznałem biologa z urzędu Fish and Game oraz asystenta Charliego i po tych wstępnych prezentacjach powiosłowaliśmy na wyspę. Gdy wyszliśmy na jej brzeg, rozpętało się istne piekło. Na wyspie gnieździło się pięć gatunków rybitw oraz brzytwodzioby. Wszystkie te ptaki mają zwyczaj bronić swych gniazd gromadnie, w sposób zorganizowany; gdy na ich terenie pojawia się drapieżnik, wzbijają się w powietrze i rzucają się na niego całą chmarą. Nie tylko atakują, ale i często wypróżniają się na swego wroga, a że jedzą ryby, ich odchody są wyjątkowo nieprzyjemne. Kiedy zeszliśmy



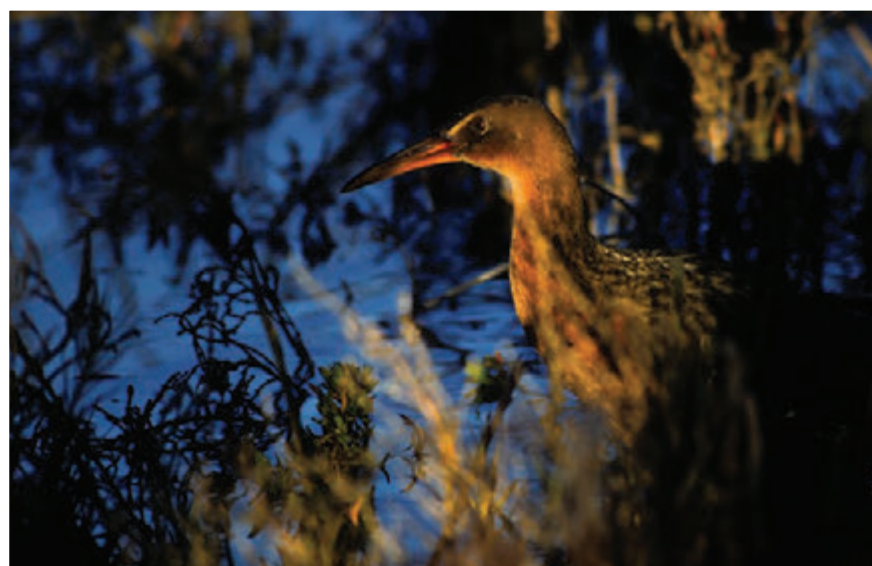
Rybitwa kalifornijska. Zdjęcie zrobione Nikonem F3/T z obiektywem Nikkor 800 mm f/5.6 z TC-14, na kliszy Kodachrome 64.

na brzeg, my staliśmy się drapieżnikami i odczuliśmy na sobie cały ciężar gniewu kolonii. Rybitwa krótkodzioba to naprawdę duży ptak. Jedna z nich wylądowała na głowie biologa, wyszedł z tego starcia zakrwawiony. Te stwory nie żartowały. Na szczęście po krótkim czasie przyzwyczyły się do nas i przynajmniej większość z nich zostawiła nas w spokoju, co umożliwiło nam podjęcie pracy.

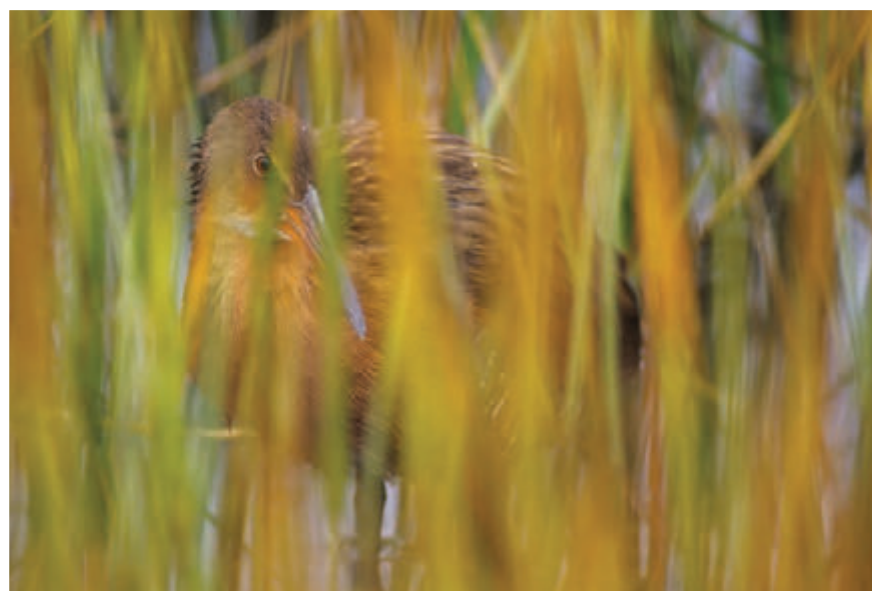
Tej wiosny pojechałem na wyspę jeszcze wiele razy. Robiłem zdjęcia biologom przy pracy, a ponadto pozwalano mi na godzinę rozłożyć osłonę i fotografować spod niej wspaniałe, rojne życie wyspy. To było niezwykle przeżycie. Przyznam szczerze, że osłona była potrzebna bardziej dla ochrony przed ptasimi odchodami niż w jakimkolwiek innym celu. Pod koniec sezonu naprawdę mieliśmy już dość rybiego fetoru, ciężko się go było pozbyć. Jednak to było świetne miejsce, wspaniała okazja dla fotografa. W trakcie jednej z tych sesji naświetliłem 83 rolki kliszy w ciągu godziny — niezły wynik, jak na tamte czasy. I spory wydatek. To zdarzenie zapadło mi w pamięć z obu tych powodów.

Bolsa Chica to dom dla kilku zagrożonych gatunków: należą do nich bagiennik żółtobrewy i wodnik długodzioby, a także kalifornijska odmiana rybitw białoczelnych. Gdy wróciliśmy na wybrzeże z tej pierwszej wycieczki, zadałem mnóstwo pytań na temat rezerwatu i zamieszkujących tam gatunków; chciałem sfotografować je wszystkie. Sharon i ja przywiązaliśmy się szybko do tego miejsca, a że było to tylko dwie godziny jazdy od domu, często tam zaglądaliśmy. Zebraliśmy imponującą kolekcję zdjęć i niemało informacji, poznaliśmy też ludzi pracujących w Bolsa i starających się zapobiec włączeniu tego terenu w obszar kompleksu portowo-magazynowego. Po raz pierwszy wzięliśmy wtedy bezpośredni udział w walce o zachowanie rezerwatu, używając do tego naszych zdjęć. Jedno z moich najlepszych zdjęć z Bolsa, przedstawiające czapkę, trafiło na plakat firmujący te działania. Zrobiłem też pokaz slajdów na temat znaczenia tego rezerwatu oraz przygotowałem pierwszy z serii wielu odczytów na temat zachowania środowiska, jakie wygłaszałem przez następne 10 lat.

Charlie pracował też w innym unikalnym rezerwacie, znajdującym się niezbyt daleko od naszego miejsca zamieszkania: Upper Newport Bay's Back Bay. Było tam sporo wysepek, na których znajdowały się niewielkie kolonie rybitw i brzytwodziobów, ale Charlie jeździł tam z powodu aeronaucy białogardłego. W Back Bay występuje również wodnik długodzioby,



Wodnik długodzioby. Zdjęcie zrobione Nikonem F3/T z obiektywem Nikkor 800 mm f/5.6, na kliszy Kodachrome 64.



Wodnik długodzioby. Zdjęcie zrobione Nikonem F3/T z obiektywem Nikkor 800 mm f/5.6, na kliszy Kodachrome 64.

ROZDZIAŁ 3.



Wodnik kalifornijski. Zdjęcie zrobione Nikonem F3/T z obiektywem Nikkor 800 mm f/5.6, na kliszy Kodachrome 64.

a Charlie skontaktował mnie z biologiem, który znał się na tych ptakach, swym niegdyśniejszym uczniem. Na imię miał Dick.

Dick był naprawdę dobry w tym, co robił, a przy tym był bardzo bezpośredni i nie miał zwyczaju owijać niczego w bawełnę. Spotkaliśmy się tuż przed świtem. Na początek opowiedział mi o obecnej sytuacji wodników długodziobych. Gatunek został już niemal starty z powierzchni ziemi, zostało ledwie parę ostoi, gdzie jeszcze się utrzymał. Po tym optymistycznym powitaniu zabrał mnie na obchód. Na ramieniu miałem aparat z obiektywem 800 mm. Najpierw przedzieraliśmy się przez suche kępy szaławii, potem skręciliśmy i wkrótce dotarliśmy do brzegu bagna. Z daleka usłyszeliśmy dziwny odgłos, jakby ktoś klaskał w dłonie. Dźwięk ucieli, a potem pojawił się znów, lecz tym razem z innego zakątka bagna. „To są właśnie wodniki” — powiedział Dick.

Jeszcze jeden zakręt ścieżki i znaleźliśmy się w miejscu, gdzie woda dochodziła bezpośrednio do brzegu drogi. Rozglądałem się na wszystkie



Wodnik kalifornijski. Zdjęcie zrobione Nikonem F3/T z obiektywem Nikkor 800 mm f/5.6, na kliszy Kodachrome 64.

strony, próbując wypatrzeć ptaka, którego do tej pory widziałem tylko na obrazkach. Wiedziałem, że powinien być mniej więcej wielkości kury. Dick spojrział na mnie i powiedział: „Wiesz, jaki jest największy problem obserwatorów ptaków? Nigdy nie patrzą pod nogi!”. Myślałem, że to miał być żart, dopóki nie spojrzałem w dół. Tuż przy naszych stopach — dosłownie — siedział wodnik. Wtulił się w niewielkie zagłębienie linii brzegowej, wysunął łebek i rozglądał się, nie poświęcając nam baczniejszej uwagi. Był o wiele za blisko, bym mógł nastawić na niego ostrość mego obiektywu. Za to postawił mój mózg w stan najwyższej gotowości.

To był bardzo pouczający poranek. Wypracowane przeze mnie do tej pory techniki fotografowania ptaków okazały się nieskuteczne, musiałem znaleźć nowe sposoby, co na dłuższą metę okazało się dla mnie bardzo pożyteczne. Dick i ja nieraz jeszcze pracowaliśmy razem przy wodnikach, tak że w końcu poznałem ten gatunek od podszewki. Nie była to wcale uciążliwa praca. Dick wsadzał mnie do łodzi udostępnionej przez

marynarkę wojenną i wypływaliśmy fotografować ptaki tam, gdzie zwykle żaden fotograf nie ma wstępu. Później czasem towarzyszyła mi Sharon. Spędzaliśmy całe dnie w miejscu, które określaliśmy jako „Zakręt nr 2 na zatoce Back Bay”. Pławiliśmy się w słońcu i czekaliśmy, aż pojawi się jakiś wodnik do sfotografowania. Przez resztę czasu mogliśmy się opalać.

Kosztowna lekcja

Pewnego poranka udaliśmy się do Bolsa Chica, by fotografować bagiennika żółtobrewego. Udało mi się wtedy zrobić naprawdę dobre ujęcie bagienika, więc byłem cały w skowronkach. Niestety, wkrótce ptaki się pochowały. Światło było ciągle dobre, więc postanowiliśmy podjechać do Upper Newport. Spędziliśmy tam resztę przedpołudnia, fotografując. W końcu wróciliśmy do Bolsa Chica w nadziei na skorzystanie z popołudniowego słońca. W głowie mieliśmy tylko jedno: jak najszybciej przejść przez most i ruszyć ścieżką wzdłuż kanału dopływowego, szukając ptaków.

Kiedy ustawiasz obiektyw 800 mm na statywie w publicznym miejscu, takim jak parking używany przez licznych plażowiczów, przyciągasz uwagę innych. To rzecz, z którą trzeba się liczyć; od tamtej pory wiem to na pewno. Wyruszyliśmy ścieżką: Sharon z Brentem na plecach, w nosidełku, ja z moim 800 mm na ramieniu oraz z drugim aparatem i obiektywem wiszącym na szyi. Wróciliśmy po godzi-

nie i odkryliśmy, że w międzyczasie ktoś włamał się do naszego samochodu i ukradł większość mojego sprzętu fotograficznego.

Mam taką zasadę: gdy opuszczam daną lokalizację, nie wracam już do niej tego samego dnia. Wielki obiektyw zanedo rzuca się w oczy. Tamtego dnia tak nie zrobiłem i zapłaciłem za to wysoką cenę. Od tamtej pory staram się również naprawdę uważnie rozglądać, zanim rozstawię sprzęt; sprawdzam, czy ktoś mnie obserwuje (zostaliśmy okradzeni przez zespół: jeden gość obserwował samochody przez lornetkę, drugi się włamywał). Czasem też udaję,



Bagiennik żółtobrewy. Zdjęcie zrobione Nikonem F3/T z obiektywem Nikkor 800 mm f/5.6, na kliszy Kodachrome 64.



Bagiennik żółtobrewy. Zdjęcie zrobione Nikonem F3/T z obiektywem Nikkor 800 mm f/5.6, na kliszy Kodachrome 64.



Modrowronka z wyspy Santa Cruz. Zdjęcie zrobione Nikonem F3P z obiektywem Nikkor 400 mm f/5.6 z TC-14, na kliszy Kodachrome 64.

że wyjmuję sprzęt z bagażnika innego samochodu niż ten, w którym on rzeczywiście przyjechał. Brzmi to idiotycznie, ale co na to poradzę? Straty mogą być dotkliwe. Nie mieliśmy wtedy ubezpieczenia na wyposażenie firmy, nic z ukradzionych rzeczy nie zostało nigdy odnalezione. Dostaliśmy nauczkę i musieliśmy się po prostu z tym pogodzić.

Strata sprzętu sprawiła, że uszedł nam wiatr z żagli. Lecz wciąż mieliśmy obiektyw 800 mm. Dzięki temu mogłem pracować, choć w ograniczonym zakresie. Finanse były teraz tak skąpe, że nawet kilkugodzinny wyjazd był poza zasięgiem naszych możliwości. Zaczęłem szukać tematów do fotografii w najbliższym otoczeniu, na przykład za oknem mojego biura. Mieliśmy modrowronki na podwórku; zaprzyjaźniłem się z nimi, oferując im orzeszki. W niedługim czasie całkiem łatwo mogłem je fotografować. Był z tym tylko jeden problem: każde miejsce, w jakim siadały, niezależnie od pory dnia, znajdowało się w cieniu. Takie oświetlenie mi odpowiadało, ale nie podobały mi się kolory zdjęć. Były do niczego. Wspaniałe opalizujące barwy nie utrwały się na kliszy. Trwało trochę, nim wymyśliłem rozwiązanie tego problemu — okazało się uderzająco proste: flesz.

Eksperymenty z fleszem były w tamtych czasach dość kosztowne — wypróbowanie każdej kombinacji kompensacji ekspozycji flesza i ekspozycji aparatu kosztowało mnie 10 dolarów (koszt rolki filmu i wywołania przezroczy). Robiłem całe tony notatek. Każda klisza miała swój numer, a każdemu numerowi była przyporządkowana pewna kombinacja ustawień. Gdy wracał do mnie wywołany film, informacja była zapisywana na ramkach przezroczy, a przezrocza rozkładane rzędem na podświetlanym stole celem dokonania analizy. Właśnie tak się to robiło w tamtych czasach... nie było wtedy szybszych metod, z wyjątkiem Polaroidów, a te były drogie! W końcu ustaliłem właściwą kombinację. Chciałem jednak uzyskać jak najczystsze kolory, pracowałem więc dalej nad moimi ustawieniami, dążąc do ideału. Tak właśnie spędziłem znaczną część tego czasu, gdy odpracowywałem utracony sprzęt.

Gdy nadeszła następna wiosna, stanęliśmy znów na nogi i byliśmy gotowi podjąć każde wyzwanie. Czekaliśmy już wtedy na narodziny naszego drugiego syna, ale w niczym nam to nie przeszkadzało. Sharon wciąż towarzyszyła mi w projektach, opiekując się przy tym Brentem. Charlie dużo wtedy pracował w tere-

Czy woda może zagrozić Twojemu aparatowi? Jeśli upuścisz go do jeziora albo do morza, to... cóż, po wyjęciu będzie wart tyle, co mokra makulatura. Lecz deszcz nie zniszczy Ci aparatu.

Sam wyznaję następującą zasadę: jeśli ja mogę wytrzymać deszcz, to mój sprzęt też może. Nie chronię mojego aparatu przed deszczem żadnymi osłonkami ani też foliowymi torebkami, ale zawsze dbam o to, by go potem dobrze osuszyć.

Osuszyć, a nie wytrzeć! Osuszanie przez delikatne dotykanie ręcznikiem zabezpiecza przed wtarciem wody w złącza korpusu, gdzie nie powinna się ona dostać. Postaraj się też pamiętać tę starą prawdę: najgorsza pogoda może Ci dać najlepsze zdjęcia.

nie i zaprosił nas do wspólnej pracy nad rybitwami, tym razem jednak oferując dodatkową atrakcję: cierniosterniki. Dokładniej — cierniosterniki czarne. Niektórzy twierdzą, że to najszybciej latające ptaki świata. Są niesamowite i kilka następnych letnich sezonów spędziłem, pracując z nimi w pewnym magicznym miejscu.

Próbowałeś kiedyś fotografować w jaskini?

W górach Południowej Kalifornii znajduje się takie miejsce, do którego cierniosterniki wracają co wiosnę, by wychować następne pokolenie. Lokalizacja większości ich siedlisk nie jest znana, a jeśli nawet jest, to informacje te nie są ujawniane. Charlie zabrał nas do najważniejszej lokalizacji, nad jaką pracował. To było wysoko w górach — ponad 2400 metrów nad poziomem morza. Zaparkowaliśmy przy zakręcie drogi, trochę się cofnęliśmy, idąc szosą, a potem prze-

skoczyliśmy nad barierką. Po stromym zboczu zeszliśmy do sporego (jak na standardy Południowej Kalifornii) strumyka i zaczęliśmy wspinać się w górę, idąc środkiem koryta (zostaliśmy ostrzeżeni, więc wszyscy mieli odpowiednie buty). Szliśmy tak do chwili, aż trafiliśmy na wodospad. I nie myśl, że na tym się skończyło — musieliśmy przejść pod wodospadem na drugą stronę wodnej zasłony!

Dobrze, że to wszystko robiliśmy w dzień. Po ciemku byłoby to bardzo niebezpieczne. Zdałem sobie z tego sprawę dopiero później. Po drugiej stronie wodospadu był inny świat: ciemny, wilgotny i bardzo głośny. Zapaliliśmy latarki czołowe i ręczne. Charlie oświetlił sufit jaskini i pokazał nam gniazdo — tam właśnie mieszkaly cierniosterniki. Te małe ptaszki są tak świetnymi lotnikami, że potrafią przebić się przez wodospad do swego gniazda!

Teraz zaczęła się właściwa praca. Dobrze, że spędziłem zimę, szlifując moje umiejętności w zakresie obsługi flesza — teraz bardzo mi się to przydało. Asystent Charliego, Kevin — obecnie kieruje on azylem dla dzikich zwierząt przy parku narodowym — przyniósł 2,5-metrową drabinę. Przystawił ją do ściany, a Charlie wspiął się, by zebrać informacje (Char-



Rzadka sytuacja — tutaj ja służyć jako model, w trakcie lekcji dotyczącej użycia flesza na kursie Joego McNally'ego w górach Sierra w Kalifornii.

ROZDZIAŁ 3.

lie był autorem książki o cierniosternikach występujących na całym świecie). Trudno się tam było porozumiewać z powodu huku wody rozbijającej się o skały, lecz muszę przyznać, że to było niezwykle przeżycie. W krótkim czasie dane zostały skompletowane, sprzęt z powrotem spakowany, a my wyszliśmy w ten sam sposób, w jaki przyszliśmy.

W tamtym czasie niewiele było wiadomo o zwyczajach lęgowych cierniosterników. Gniazdują na wysokości ok. 2,5 tysiąca metrów nad poziomem morza. Polując na wysoko latające owady, potrafią oddalać się od gniazda o całe kilometry, a potem wracają jak rozpędzona kula armatnia, przebijając ścianę wodospadu i nurkując w głąb jaskini, by odwiedzić swe gniazdo. Dla mnie to był prawdziwy test; w tym projekcie musiałem wykorzystać wszystkie możliwości techniczne mego sprzętu. Do końca lata, póki cierniosterniki gniazdowały, we wszystkie weekendy sam jeździłem z Santa Barbara w góry, w pobliże Idlewind. Tuż po świcie szedłem do jaskini, a przed zmrokiem ją opuszczałem, by zdążyć wyjść z wąwozu i schronić się w moim camaro. W międzyczasie siedziałem na skalnej półeczce za wodospadem w pobliżu jednego z gniazd.

Cierniosterniki czarne zwykle opuszczają gniazdo tuż przed świtem i nie wracają, nim się nie ściemni. Pojedyncze jajo, które składają, jest umieszczane w gnieździe wysłanym mchem. Mech zeszkrobuje ze ścian jaskini. Gdy mech się rozkłada, proces gnilny uwalnia ciepło, które pozwala utrzymać jajo we właściwej temperaturze. To ważne, ponieważ rodzic go nie wysiaduje. Gniazdo, które fotografowałem, było umieszczone w skalnej szczelinie tak szczęśliwie, że mogłem siedzieć w pobliżu. Czemu musiałem tam siedzieć cały dzień? Żeby być na miejscu, kiedy dorosły ptak wróci późnym popołudniem. Gdybym czekał na zewnątrz wodospadu i wszedł do jaskini dopiero po jego powrocie, nie mógłbym podejść do gniazda, nie płosząc ptaka. Cierniosternik nie przejmował się moją obecnością, gdy zastawał mnie tuż obok gniazda. Ale przejąłby się, gdyby mnie tam najpierw nie było, a potem bym wszedł (tak to właśnie jest z większością dzikich stworzeń).

Dni się dłużyły. Nie było tam nikogo, z kim mógłbym porozmawiać, towarzyszył mi tylko monotonny huk wodospadu. Mogłem jedynie wyglądać zza niego przez szczelinę między skałą a kurtyną wody, obserwując las.

Raz widziałem puszczyka plamistego, widywałem też inne ptaki, przylatujące i odlatujące. Sprzęt, jaki przynosiłem ze sobą, nie był przesadnie skomplikowany; miałem Nikona F3P, więc mogłem korzystać z pary fleszy pracujących w systemie TTL. Umieściłem je na uchwycie, tak by flankowały mój obiektyw mikro 200 mm. Granitowe ściany były naturalnymi reflektorami. Wystarczyło więc zadbać o to, by nie prześwietlić tych skał, które były najbliżej flesza. Osiągnąłem to, ekranując światło taśmą gumowaną.

Siedząc tam, zastanawiałem się nad tym, co właściwie było wiadomo o lęgach cierniosterników. Rodzice wracali do gniazda na noc — wtedy właśnie musieli karmić młode, jak powszechnie



Charlie zbierający dane na temat cierniosterników czarnych. Zdjęcie zrobione Nikonem F3/T z obiektywem Nikkor 35 – 70 mm f/2.8, na kliszy Fuji 100.



Puszczyk plamisty. Zdjęcie zrobione Nikonem F4e z obiektywem Nikkor 800 mm f/5.6 z TC-14, na kliszy Kodachrome 64.

sądzono. Jednak nocne przesiadywanie w jaskini było wykluczone — to miejsce było mokre, strome i zupełnie nie nadawało się na nocleg dla ludzi. Jak więc sprawdzić te domysły? Gdy z jaja leżącego w fotografowanym przeze mnie gnieździe wykluło się pisklę, szansa na zaobserwowanie cierniosternika opiekującego się swym młodym wzrosła. Ta myśl była jedyną rzeczą, która trzymała mnie na tym twardym i zimnym kamieniu, w miarę jak mijał dzień.

Jaskinia wychodziła na zachód. Kiedy więc słońce zaczęło się zniżać, wąwóz zupełnie zmienił swój wygląd. Patrzyłem zafascynowany, bo uwielbiałem obserwować światło. Niebo było tego dnia niebieskie i czyste, a wody w strumieniu mniej niż zwykle, tak że mogłem co nieco widzieć zza wodospadu. Nie wiem, jak to się stało, że podniosłem wzrok dokładnie we właściwym momencie, ale zrobiłem to i zobaczyłem czarne plamki na niebie.

Przez chwilę myślałem, że to owady roją się w moim polu widzenia, ale gdy się przyjrzałem, dostrzegłem, że te plamki rosną i zbliżają się. I w czasie krótszym, niż zajęło Ci przeczytanie tego zdania, jedna z tych czarnych plamek opadła na dno wąwozu, wydając triumfalny wrzask — tuż przy mnie!

Zanim zdążyłem się zastanowić, na co właściwie patrzę, coś roztrzęsło na moment wodną kurtynę, a potem tuż przy mnie usiadł cierniosternik. Uczepił się niemal pionowej skalnej ściany, czyniąc użytek z niezwyklej budowy swych łapek — przylegają one do szorstkich powierzchni niczym rzep. Przez chwilę po prostu siedział tam i mi się przyglądał. Musiałem mieć mocno zdumiony wyraz twarzy, w stylu: „Jak to zrobiłeś, u licha?”. Ptak patrzył na mnie w taki sposób, jakby chciał powiedzieć: „Zawsze tak robię, a w ogóle to coś ty za jeden?”.

Pożyczyłem ze sklepu obiektyw Noct-Nikkor 58 mm f/1.2, naprawdę świetne szkło. Ponieważ zajmowałem się fotografowaniem w ciemnościach, pomyślałem, że większa szybkość nie zaszkodzi. Siedząc tak oko w oko z tym niezwykłym stworzeniem, wolniutko sięgnąłem po ten obiektyw do mojej torby, a potem równie wolno zdjąłem z mojego F3P obiektyw mikro 200 mm i nałożyłem 58 mm. Podniosłem aparat. Mając obiektyw 58 mm z przysłoną ustawioną na f/1.2, czyli szeroko otwarty, przyłożyłem oko do wizjera. Fokus był ustawiony na najmniejszą możliwą odległość, ale ptak po prostu siedział za blisko — nie mogłem wyostrzyć. Zacząłem się odchyłać w tył, cały czas zastanawiając się nad tym, co będzie, jak w końcu stracę równowagę i wpadnę do wody. Wreszcie jednak ustawiłem ostrość na wielkie czarne oko i nacisnąłem spust. Cichy szum silniczka poinformował mnie, że mój aparat daje z siebie wszystko. Czas migawki był naciągnięty do ostateczności (zawsze fotografuję w trybie pierwszeństwa przysłony). Naświetliłem sześć klatek, zanim cierniosternik opuścił swą skalną grzędę i udał się do gniazda.

To było niezwykle osobiste doświadczenie, zapadające w serce. To dzieło stworzenie, latające szybciej niż cokolwiek innego na tej planecie, było uprzejmie zatrzymać się na chwilę i powiedzieć mi „cześć”, gdy przyszedłem

❶ Nie myśl, że fotografowanie nie jest dla mnie przeżyciem, dlatego że zwykle mówię o technikach i o sprzęcie. Za tym wszystkim kryje się marzenie o tym, by dotknąć świata działającego na innych zasadach niż nasz, by nawiązać z nim kontakt głębszy niż ten, który polega na zarejestrowaniu garści fotonów. ❷

Nosisz okulary? Jeśli tak, to dobrze wiesz, jak trudno jest w nich fotografować. Nie ma magicznego sposobu, który pozwoli Ci tak po prostu przyłożyć oko do wizjera i widzieć wszystko. Jeśli Twój aparat ma kwadratowy wizjer, możesz poczuć pewną ulgę, gdy zmienisz go na taki z okrągłym wizjerem; to często są wizjery typu *high eyepoint*, z odsuniętym punktem ocznym. Możesz też spróbować fotografować bez okularów, używając dioptra kupionego w sklepie fotograficznym albo wykonanego na zamówienie, zgodnie z zaleceniami Twojego optyka. Chciałbym mieć dla Ciebie lepsze rozwiązanie, ale niestety nigdy go nie znalazłem.

je odwiedzić. Nie myśl, że fotografowanie nie jest dla mnie przeżyciem, dlatego że zwykle mówię o technikach i o sprzęcie. Za tym wszystkim kryje się marzenie o tym, by dotknąć świata działającego na innych zasadach niż nasz, by nawiązać z nim kontakt głębszy niż ten, który polega na zarejestrowaniu garści fotonów.

Rozwiązanie problemu

Na najlepsze pomysły wpadam zwykle dopiero wtedy, gdy skończę fotografować i idę do domu. Tym razem też tak było. Zdalnie sterowany aparat — to mogłoby rozwiązać zagadkę nocnego gniazdowania cierniosterników! Dziś wydaje się, że to oczywiste rozwiązanie, ale w tamtych latach

zdalne wykonywanie fotografii było stosowane głównie dla celów naukowych oraz w projektach firmowanych przez wielkie organizacje, nieliczące się z pieniędzmi. Nie byłem naukowcem i nie miałem wielkich pieniędzy, ale miałem wyobraźnię, więc zaprząłem ją do pracy. Oto główne problemy, jakie musiałem rozwiązać: dość kliszy, by fotografowanie mogło trwać całą noc, oświetlenie, zasilanie dla całego sprzętu i jakiś sposób, by zaprogramować naciskanie spustu migawki w ustalonych odstępach czasu.

Problemy, jakie musiałem rozwiązać: dość kliszy, by fotografowanie mogło trwać całą noc, oświetlenie, zasilanie dla całego sprzętu i jakiś sposób, by zaprogramować naciskanie spustu migawki w ustalonych odstępach czasu.

Problem kliszy mogłem rozwiązać, stosując film MF-4 — 250 klatek. Światło? Dwa flesze. Zasilanie? Trzeba sprawdzić, ilu potrzebuję baterii. Znalezienie timera to kolejne wyzwanie. Nasz budżet został w tym czasie zasilony kartą kredytową, zamówiliśmy więc MF-4, specjalne kasety i nawijarkę do filmów. Flesze już miałem, trzeba jednak było ustalić, ilu potrzebuję baterii. Trzeba było ustalić, jak długie będą błyski i ile ich będzie, a także wziąć pod uwagę czynniki wpływające na ich intensywność — liczbę przysłony i odległość.

Najpierw jednak musiałem znaleźć timer, znany też pod nazwą interwometru. Nikon produkował takie urządzenie, było ono jednak duże i wymagało zasilania 120 V. Potrzebowałem czegoś małego, co mogłoby działać na baterie. Canon miał w ofercie prosty mały timer o nazwie TM-1, który mógł być zasilany bateriami. Ponieważ jednak był to sprzęt Canona, nie dawało się go podłączyć do Nikona. Zużyłem trzy TM-1, zanim udało mi

się w końcu namówić je do współpracy z Nikonem (potrafię być niezłym elektrykiem, kiedy trzeba).

Muszę się przyznać, że cały ten czas byłem w siódmym niebie. Dostosowywać swój sprzęt fotograficzny do potrzeb projektu związanego z badaniem przyrody, szukać nowych rozwiązań, wprowadzać indywidualne przeróbki, testować działanie całego systemu i osiągnąć cel — nie ma nic lepszego na świecie. Mając moje kasety MF-4 z załadowaną zastępczą białą-czarną kliszą oraz podłączony i sprawny timer, wziąłem się do testowania fleszy i zasilania. Jako że mój zestaw lamp miał się ustawiać sam, działając w systemie TTL, aby przeprowadzić próbę, musiałem zrobić „jaskinię”. Używając taśmy i koców, zmieniłem wystrój mojego biura. Wiedziałem, które gniazdo będę fotografować — w jaskini było tylko jedno miejsce, w którym mogłem bezpiecznie rozstawić mój statyw i zostawić go na całą noc. To nie było to gniazdo, które wcześniej fotografowałem, tylko inne, oddalone o jakieś 3 metry od miejsca, gdzie zamierzałem umieścić aparat. Taka odległość oznaczała, że flesze będą potrzebować sporo energii do pracy.

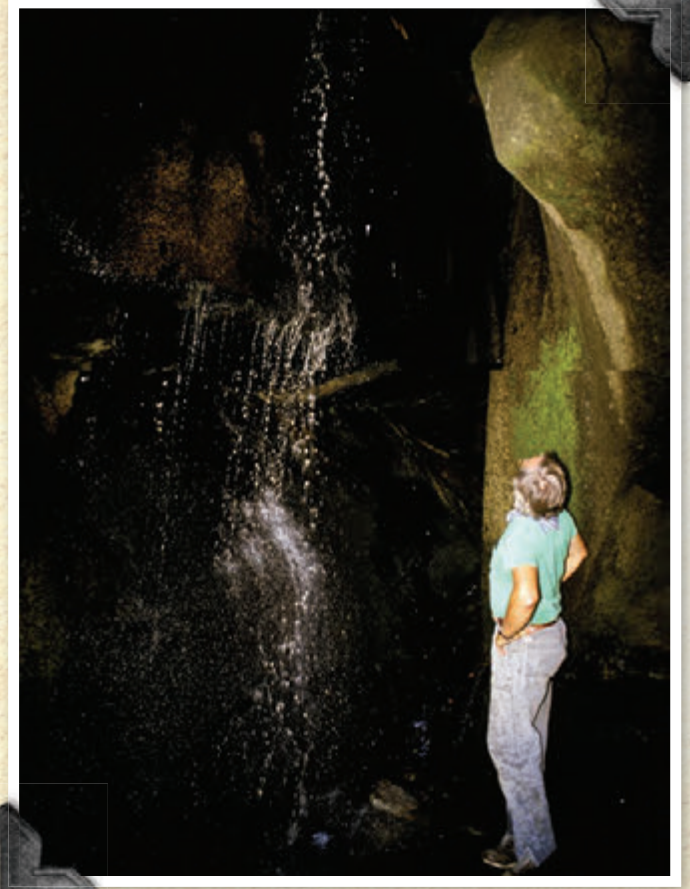
Wiedziałem, jak długo mogę zostać w jaskini, by zdążyć się z niej jeszcze wydostać przed zapadnięciem ciemności. Wiedziałem też, kiedy będzie już dość jasno, bym mógł do niej wrócić. Podzieliłem ten czas pomiędzy 250 ekspozycji i okazało się, że zdjęcia mogą być robione co dwie minuty bez obawy, że braknie kliszy. Ustawiłem flesze w mojej próbnej jaskini, nastawiłem TM-1 na odstęp czasowy dwóch minut i pozwoliłem mu działać. Zamknąłem drzwi od biura, żebyśmy nie musieli oglądać błysku co dwie minuty. (Ale nasi sąsiedzi musieli. Ha!).

Późnym wieczorem, tuż przed pójściem do łóżka, sprawdziłem, co się dzieje — żadnych błysków! Baterie się wyczerpały. Konieczność znalezienia lepszych baterii, a były nimi nowe, potężne baterie Quantum, oznaczała dodatkowy tydzień zwłoki i kolejne wydatki. W rezultacie jednak mój zestaw fleszy dawał sobie radę całą noc, a jeszcze zostawało nieco energii. Ponieważ w trakcie tych przygotowań czas płynął nieubłaganie, trzeba było zacząć na kolejne lato. W końcu nadeszła pora, by sprawdzić, czy cierniosterniki wróciły do jaskini i rozpoczęły cykl lęgowy.



Cierniosternik. Zdjęcie zrobione Nikonem F3T z obiektywem Noct-Nikkor 58 mm f/1.2, na kliszy Kodachrome 64.

Jaki jest dzisiejszy ekwiwalent MF-4 o 250 ekspozycjach? Każdy aparat Nikona z kartą pamięci 16 GB i z wielofunkcyjnym elektronicznym wężym spustowym MC-36. Pewnie domyślasz się, że w obecnych czasach dla każdego aparatu jest też szeroki wybór interwalometrów. Pewnie, że tak, ale zawsze musisz sprawdzić, z jakim zużyciem baterii trzeba się liczyć, stosując dane urządzenie.



Biolog pracujący nad cierniosternikami. Zdjęcie zrobione Nikonem F3T z obiektywem 35 – 70 mm f/2.8, na kliszy Fuji 100.

Ciężka próba

Poszedłem kupić kolorowe klisze do nawijarki na użytek projektu. Żaden problem, zostały dostarczone następnego dnia. Sprawdziłem, ile będzie kosztować ich wywołanie (mój budżet wciąż był ograniczony). Czy kiedyś oddawałeś do wywołania ćwierć tysiąca przezroczy? Cóż, w obecnych czasach odpowiedź łatwo przewidzieć. Ale nawet wtedy, gdy przezrocza były w powszechnym użytku (to było tylko 20 lat temu, a wydaje się, jakby to była inna epoka), nie było wiele laboratoriów fotograficznych zdolnych poddać obróbce kliszę dziesięciometrowej długości. Znalazłem takie laboratorium, lecz cena usługi i przewidywany czas oczekiwania na jej wykonanie sprawiły, że zmiękły mi kolana. Bądź co bądź było to jedyne rozwiązanie tego problemu, jakie znalazłem. I niech mnie licho, jeśli wycofam się z projektu z powodu pieniędzy. Wszystko było gotowe, więc wyruszyłem do jaskini cierniosterników.

Byłem bardzo ciekaw, które gniazda są zasiedlone i czy jest wśród nich to gniazdo, które chciałem fotografować. Poziom wody opadł w porównaniu z poprzednim rokiem, więc przedostanie się do jaskini było teraz łatwiejsze. Dało się nawet przejść obok wodospadu, nie przemakając na wylot. Gdy już znalazłem się w środku, zastałem tam sporo zmian; zimowy przybór wody spowodował pewne zniszczenia. Popatrzyłem na skalną ścianę, szukając gniazda, które chciałem fotografować — nie było go. Zrobiło mi się słabo. Zacząłem się rozglądać, ale w pierwszej chwili nie mogłem wypatrzyć żadnych gniazd w miejscach, gdzie były w zeszłym roku. A wcale nie było tak, że jaskinia oferowała mnóstwo świetnych miejsc na ich założenie. Wyciągnąłem latarkę i w końcu znalazłem kilka gniazd. To, które chciałem fotografować, zostało przeniesione kawałek w prawo i wyglądało na aktywne. Było o jakieś 30 centymetrów dalej od aparatu, niż to przewidywałem w moich testach prowadzonych w jaskini z koców.

Spędziłem w jaskini cały dzień. Gdy zaczął zapadać zmierzch, aparat i fleksze były ustawione na miejscu i gotowe. Pstryknąłem parę razy na próbę, by upewnić się, że TTL działa i wszystko jest sprawne. Tuż przed wyjściem włączyłem zasilanie, nastawiłem timer, zaczekałem dwie minuty na pierwszy błysk. Film przesuwiał się w nawijarce, lampy błyskały, wszystko było w porządku. Wyszedłem więc i ruszyłem w górę zbocza.

Być może zastanawiasz się, jaki wpływ może mieć na gniazdujące ptaki takie całonocne naświetlanie. Nie przejmuj się tym, błysk flesza nie prze-

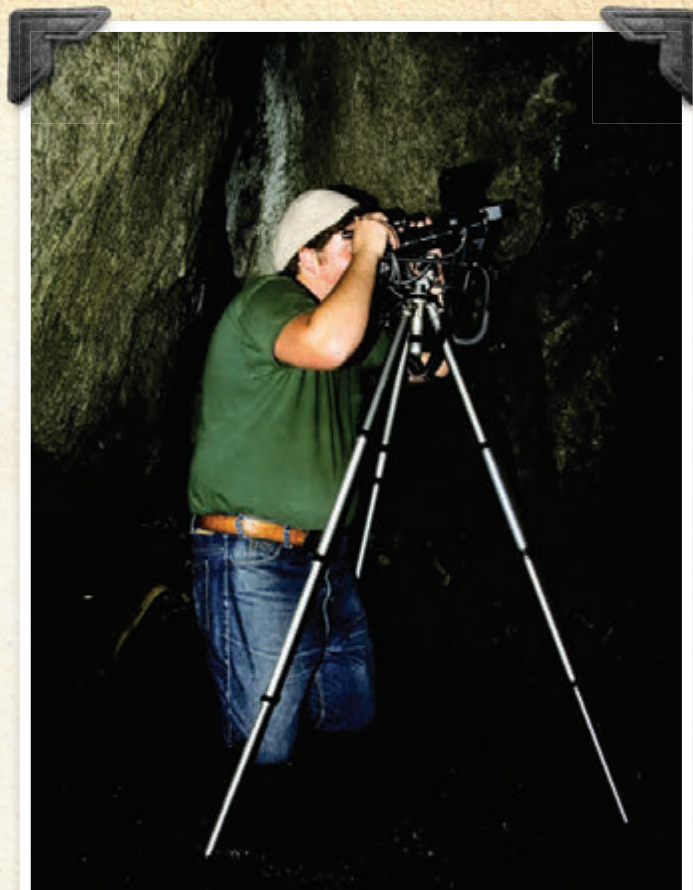
szkadza dzikim stworzeniom. Niektórzy biologowie zastanawiają się nawet, czy w ogóle go widzą. Jeśli widzą, to i tak zjawisko to nie jest dla nich niczym więcej niż zwykła błyskawica. Jasne, że gdyby przy każdym błysku flesza zwierzę było bite, to szybko wytworzyłaby się negatywna reakcja i wtedy byłoby się czym martwić. Tak się jednak nie dzieje.

Spędziłem noc w camaro, niedaleko wejścia na szlak. Musiałem mieć pewność, że ktoś przypadkowo przechodzący w pobliżu nie dostrzeże błysków i nie pójdzie sprawdzić, co oznacza ten świetlny pokaz. Zbyt dużo zainwestowałem w to przedsięwzięcie, by ryzykować. Trochę drzemałem, ale niewiele, bo byłem strasznie ciekaw wyników tego eksperymentu. Gdy tylko trochę się rozjaśniło, ruszyłem do jaskini. Kiedy tam dotarłem, cierniosterniki już opuściły siedlisko po nocnym spoczynku. Spojrzałem na mój sprzęt; flesze nie działały, a świecący czerwony wskaźnik baterii Quantum wskazywał na ich zupełne wyczerpanie. Ale kiedy się wyczerpały? Ile klatek udało się naświetlić? Czy udało się zarejestrować jakąś aktywność cierniosterników? I jak to się stało, że moje wyliczenia zawiodły? Dwa dni później, gdy odebrałem wywołany film, zyskałem odpowiedź na przynajmniej niektóre z tych pytań: flesze działały przez cztery godziny.

Wróciłem do mojej sztucznej jaskini, załadowałem zastępczą tanią kliszę, nastawiłem timer i pozwoliłem mu działać. Następnego ranka baterie dalej były sprawne, a flesze błyskały. Z czystej ciekawości przedłużyłem działanie timera; sprzęt działał jeszcze przez 90 minut. Co poszło źle tamtej nocy w jaskini? Czy te dziesięć godzin, które upłynęły pomiędzy naładowaniem baterii a naciśnięciem guzika timera (czas, jaki zużyłem na dotarcie do jaskini i przygotowania) mogły cokolwiek zmienić? Naładowałem baterie, odstawiłem wszystko na 10 godzin i powtórzyłem test — wypadł dobrze, tak samo jak poprzednie. Naprawdę zaczynało mi to działać na nerwy. Nie znałem numeru do żadnego konsultanta technicznego zajmującego się cierniosternikami, fleszami i MF-4.

Finalny test

Następnego dnia pod prysznicem (wtedy najczęściej wpadam na różne pomysły) nagle mnie olśniło. To gniazdo było o 30 centymetrów dalej. Skoro tak, to flesz musiał wydatkować więcej energii. Czy to mogło spowodować aż taką różnicę w jej zużyciu? Wprowadziłem zmiany w mojej testowej scenie, naładowałem baterie, odczekałem 10 godzin i nacisnąłem przycisk startu.



Stoję wciśnięty w kąt jaskini, dokładnie naprzeciw skalnej szczeliny z gniazdem cierniosternika.

Jest coś, bez czego nigdzie się nie wybieram — to bloczek papieru i pióro. Ale to nie byle jaki papier i nie byle jakie pióro. Używam produktów firmy Rite in the Rain. Ta firma sprzedaje wodoodporny papier oraz pisaki, którymi można pisać w każdych warunkach. Robienie notatek — i to na każdy temat — jest bardzo ważne. Notuj spostrzeżenia dotyczące obserwowanych gatunków, szczegóły techniczne, pomysły biznesowe — wszystko.



Cierniosternik z pisklęciem. Zdjęcie zrobione Nikonem F3/T z obiektywem Micro-Nikkor 200 mm f/4, na kliszy Kodachrome 64.

Siedem godzin później — czerwone światelka. W prawdziwej jaskini używałem cztery godziny, w testowej — siedem. Co wyssało te trzy godziny? Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie powinienem wejść pod prysznic i stać tam, aż coś z tego zrozumiem, ale zrezygnowałem. Nagle pomyślałem: „A może to ten chłód i wilgoć, jakie panują za wodospadem?”. Naładowałem baterie, odczekałem 10 godzin, otoczyłem baterie woreczkami z lodem i nacisnąłem guzik. Cztery godziny później — czerwone światelka!

W porządku, miałem już diagnozę i miałem rozwiązanie; poszedłem do sklepu sportowego i kupiłem parę ogrzewaczy do rąk, które rozmieściłem wokół baterii, owijając to wszystko grubym wełnianym szalem. Tydzień później znów siedziałem w samochodzie nieopodal jaskini, czekając, aż mój sprzęt skończy pracę.

Niestety, znów fiasko! Tym razem coś uderzyło w aparat i zmieniło jego położenie, tak że otrzymałem długą serię zdjęć kawałka granitowej skały.

Pięć najczęstszych błędów, jakie popełniają początkujący fotografowie:

1. Wątpią w siebie i z tego powodu za szybko się poddają. Trzeba lat, by dostrzec efekty wzrostu poziomu swych umiejętności.
2. Wszystko zwalają na to, że nie mają dość długiego obiektywu. Wiedza biologiczna może zastąpić 200 mm ogniskowej!
3. Nie spędzają dość czasu za aparatem. Chcesz robić postępy? Fotografuj, fotografuj, fotografuj!
4. Kasują o wiele za dużo zdjęć. Możesz się uczyć na własnych błędach tylko wtedy, gdy je widzisz.
5. Nie poświęcają uwagi fleszowi, gdy przygotowują się do zdjęć. Źródło światła jest niezwykle ważne!

Nie miałem już wiele czasu — młode wkrótce miały opuścić gniazda — i nie miałem za wiele pieniędzy. W istocie w ogóle już nie miałem pieniędzy. Ale za to miałem przynajmniej całonocne zdjęcia kawałka skały, co oznaczało, że system zadziałał. Kolejny weekend miał być moją ostatnią szansą tamtego roku.

„Do trzech razy sztuka” — powtarzałem sobie. Dwa dni po mojej trzeciej próbie rozwinąłem wywołany film (wrócił niepocięty) na podświetlanym stole. Pierwsza oraz ostatnia klatka miały tę samą, właściwą ekspozycję. Tak więc mój system oświetleniowy zdał egzamin. A co z cierniosternikami? W miarę jak powoli rozwijałem film, widziałem cały czas to samo gniazdo, aż w pewnym momencie zacząłem widzieć głowę pisklęcia wznoszącą się nad jego krawędzią na przestrzeni kilku kolejnych klatek. Doszedłem do czasu 01:00 (30 klatek = 1 godzina), gdy nagle pozycja pisklęcia zdecydowanie się zmieniła. Na następnym zdjęciu był z nim już dorosły ciernioster-

nik. Na jeszcze następnym — dorosły ptak nadal tam był, lecz pisklę znów zmieniło pozycję, a potem na przestrzeni kolejnych 10 klatek można było zobaczyć przebieg karmienia. Jeszcze dwa takie cykle karmienia zostały zarejestrowane przed wschodem słońca. Pierwszy raz na świecie udało się zaobserwować, jak przebiega opieka nad młodymi u cierniosterników! Byłem tak podniecony, że natychmiast zadzwoniłem do Charliego. Wysłałem mu cały film naświetlony tej nocy. Charlie napisał na jego podstawie artykuł naukowy i opublikował go ku naszej obopólnej satysfakcji.

Powodzenie tego przedsięwzięcia wprawiło mnie w cudowny nastrój na dłuższy czas. Połączyć biologię z technologią i zrobić coś zupełnie nowego, a przy tym przysłużyć się badaniom nad zagrożonym gatunkiem — nie wyobrażam sobie lepszej nagrody. Czy zmieniłem wtedy świat? Niestety nie. Teraz to wszystko nie wydaje się już nawet jakimś specjalnym osiągnięciem. Wtedy jednak było to niezwykle techniczne wyzwanie, a ja mu sprostałem. Tylko co dalej? Jak przebić swój własny sukces?

Szukając nowej pracy

W tamtym czasie naprawdę dałbym wszystko za to, żeby móc swobodnie zajmować się moimi projektami. Praca w sklepie doprowadzała mnie do szału. Choć moje biznesowe perspektywy były nader niepewne, rzuciłem w końcu sklep (a było to dla mnie ważne zabezpieczenie) i zająłem się fotografią w pełnym wymiarze godzin. Z całą pewnością nie była to najłatwiejsza rzecz, jaką zrobiłem w życiu... Łapiąc różne zlecenia jakoś udawało mi się związać koniec z końcem, ale na moje własne projekty nie zostawało wiele czasu. Jak to powiedział kiedyś mój przyjaciel Wayne Lynch: „Fotograf przyrody codziennie od nowa szuka roboty”.

Byliśmy w kontakcie z wieloma biologami pracującymi w stanowym departamencie sportów i rybołówstwa (California Departament od Fish and Game) i jeden z nich powiedział nam o grantach przyznawanych co roku na działania związane z ochroną środowiska. Zachęcono nas do złożenia zgłoszenia. Cóż, perspektywa otrzymania jakiegos wynagrodzenia za fotografowanie przyrody była kusząca, więc tak właśnie zrobiliśmy. Nasz projekt — w skrócie — miał polegać na fotografowaniu kilku ginących gatunków, a potem na przygotowaniu na podstawie tych materiałów projektu edukacyjnego uzupełniającego ten, w którego tworzeniu braliśmy udział w zeszłym roku.



Pisklę wodnika długodziobego (podgatunek yuma clapper rail). Zdjęcia zrobione Nikonem F4e z obiektywem Nikkor 35 – 70 mm f/2.8, na kliszy Fuji 100.

Ci, którzy zajmują się fotografowaniem przyrody, muszą się nieźle orientować w pogodzie i zachodzących w niej zmianach.

Teraz nie trzeba już koniecznie czytać z chmur, można pomóc sobie którąś z użytecznych aplikacji na iPhone'a, jak Weather Channel albo Weather Radar. Świetnie się sprawdzają. Warto jednak wiedzieć o paru rzeczach. Na przykład o tym, że obecność chmur soczewkowych zwiastuje wichurę.

A kierunek, z którego uderzy wiatr, możesz zgadnąć na podstawie zachowania większych zwierząt — stają obrócone zadem w stronę zbliżającej się burzy. A gdy nagle poczujesz, jak ni stąd, ni zowąd włosy na Twojej głowie stają dęba, rzuć się na ziemię. Piorun uderzy blisko!

Praca papierkowa nie była zbyt trudna — wystarczyło opisać cele projektu i określić sposób jego wykonania. Ponieważ grant był oceniany przez komisję senacką, poradzono nam, byśmy się postarali o jakieś rekomendacje, aby nasz projekt łatwiej został zauważony. Dostaliśmy ich mnóstwo: od biologów, senatorów stanowych i federalnych oraz osób zaangażowanych w prace edukacyjne. Wysłaliśmy papiery — bingo! Projekt gładko przeszedł przez komisję, został zatwierdzony i trafił do koszyka dokumentów czekających na podpis gubernatora. Otrzymawszy tę wspaniałą wiadomość, natychmiast rozplanowaliśmy kalendarz na następny rok, umawiając się z różnymi biologami. Byliśmy szczęśliwi — to było spełnienie naszych marzeń.

Grant miał opłacić tylko nasz czas pracy w terenie. Zostaliśmy ostrzeżeni, by nie proponować kupna nowego sprzętu na potrzeby projektu, gdyż komisja niechętnie patrzyła na takie wydatki. W międzyczasie jednak technika szła naprzód — właśnie zapowiedziano wprowadzenie na rynek nowego F4s. Czy naprawdę musiałem mieć ten aparat? No, przydałby się. Czy chciałem go mieć? Jeszcze jak! Poszedłem na spotkanie z dyrektorem przedstawicielstwa handlowego Nikonu na zachodnią część stanu. Umówiłem się, pojechałem do Torrance i zaprezentowałem mu ten sam plan, który leżał w koszyku, czekając na podpis gubernatora.

Dyrektor obejrzał plan, wspomniał o setkach próśb o przydział darmowego sprzętu, jakie do niego docierają, po czym przyznał, że to jedyna

sensowna propozycja w tym zalewie, i obiecał, że się ze mną skontaktuje. Nikon, najlepsza z firm. Miesiąc później, po premierze F4s w Los Angeles, Victor skontaktował się ze mną i powiedział, że może dostarczyć F4s na użytek naszego programu. To była jedna z dwóch rzeczy, jakie dostałem w prezencie od Nikonu w mej zawodowej karierze. Czasem ludzie dziwią się, że tak uparcie trzymam się Nikonu. Teraz już wiesz, czemu — wspierali mnie od samego początku. Takich rzeczy się nie zapomina!

A potem zadzwonił telefon. Gubernator zatwierdził budżet, lecz naszego projektu w nim nie było. Jak się okazało, ktoś w biurze zobaczył papiery i uznał, że to ciekawe, więc zabrał je sobie, żeby poczytać. Włożył je później z powrotem do koszyka, ale to było już po tym, jak dokumenty zostały zaniesione do podpisu. Było za późno, decyzje zostały powzięte i nic się już nie dało zmienić. Samo życie. Prawdziwym problemem było to, że już się z wszystkimi umówiłem — dałem słowo, że w określonym czasie pojadę i zajmę się tą pracą. Nikon dostarczył F4s. I tak oto zaczęliśmy kolejny, nadzwyczaj interesująco zapowiadający się rok, za jedyne wsparcie finansowe mając naszą domową kartę kredytową. Niezła jazda!

Sprzęt, który zabierałem
w teren w roku 2010:

- Nikon D3x i D3s (zawsze mam ze sobą dwa aparaty),
- AF-SVR Zoom-Nikkor 200 – 400 mm f/4G IF-ED,
- AF-S Nikkor 70 – 200 mm f/2.8G ED VR II,
- AF-S Nikkor 24 – 70 mm f/2.8G ED,
- AF-S Nikkor 14 – 24 mm f/2.8G ED,
- AF-SVR Nikkor 105 mm f/2.8G IF-ED,
- zestaw fleszy SB-900 AF Speedlight.



M O O S E P E T E R S O N G A L L E R Y S E R I E S

Mysz badylarka ze słonych bagien. Zdjęcie zrobione Nikonem F4e
z obiektywem Nikkor 300 mm f/4 AF z konwerterem PK-11A, na kliszy Fuji 100.

POZNAJ TAJNIKI FOTOGRAFOWANIA PRZYRODY!

Fotografowanie dzikiej przyrody to prawdopodobnie jeden z najbardziej wymagających rodzajów fotografii. Spotkanie oko w oko z niedźwiedzią grizzly lub watahą wilków wymaga stałowych nerwów, a z kolei fotografowanie sów — cierpliwości, precyzji i umiejętności bezszelestnego przemieszczania się.

Jeśli marzysz o przygodzie z fotografią na łonie dzikiej natury i szukasz inspiracji dla Twoich zdjęć, nie mogłeś lepiej trafić!

W tej wyjątkowej książce Moose Peterson dzieli się doświadczeniem zdobytym w ciągu trzydziestu lat bliskiego obcowania z dziką przyrodą. Jesteś jeszcze laikiem w tej dziedzinie, na samym początku autor da

Ci parę cennych wskazówek i podpowie, od czego zacząć. W kolejnych rozdziałach dowiesz się, jak pracować bez siatki ochronnej, eksperymentować z lampą błyskową, wybierać odpowiedni sprzęt oraz współpracować z biologami. Zobaczysz, jak bezpiecznie fotografować jaskinie, obserwować gatunki, aby wskazywały Ci drogę do kolejnych intrygujących osobników, oraz robić im zdjęcia w nocy. Nauczysz się fotografować ptaki, owady oraz intymne życie zwierząt. Książka ta jest paragonującym przewodnikiem po świecie dzikiej przyrody, z którym sfotografujesz nawet najbardziej nieokiełznane zwierzę rączym. Fotograficy National Geographic!

- Początek przygody z fotografowaniem dzikiej przyrody
- Współpraca z biologami
- Eksperymentowanie z flashem
- Praca bez siatki ochronnej
- Fotografowanie w jaskini
- Dobór sprzętu
- Wykorzystanie koloru do manipulacji umysłem
- Fotografowanie w nocy
- Przygotowanie do wyjazdu
- Praca ze statywnym
- Fotografowanie ptaków

Patroni medialni:



plfoto.com



Camera

Optykozone.pl

Współpraca z:



Informatyka w najlepszym wydaniu